

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

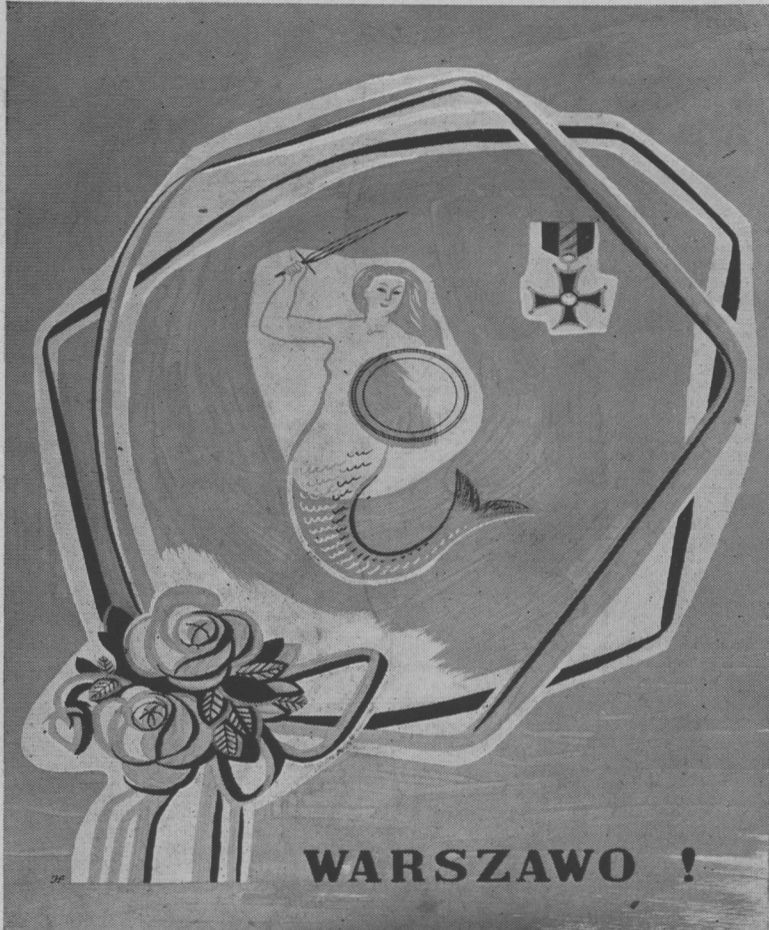
PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 14-go października 1944r.

Rok VI. Nr. 41

## TRADYCJA WIELKOŚCI



Rysował JERZY FACZYŃSKI

### UPADEK STOLICY

Byłoby rzeczą niegodną ofiary Warszawy, gdybyśmy, gwoli taniemu krzepieniu serc, sypali na jej krwawe grunty piasek szumnych słów i unikali lekkości właściwej oceny i właściwych określeń. Powstanie warszawskie oddało sprawę polskiej bezcennej usługi, upadek jednak stolicy nie jest żadnym zwycięstwem: jest klęską, wielką klęską. Główny ośrodek akcji niepodległościowej uległ co najmniej rozproszeniu. Cały niemal Korpus Warszawski Armii Krajowej przestał istnieć: kto nie poległ, dostał się do niewoli. Ludność Warszawy — owa bohaterska ludność, godna tradycji Kilińskich i Okrzejów, kryjąca pod maską kpiarskiej trzeźwości, gotowości do największych poświęceń — w obozach, lub na wieki wieczne pod gruzami ukochanego miasta. Sama stolica — prawie całkowicie zniszczona. Można na jej miejscu wzniesić nowe, stokroć wspanialsze miasto, nikt i nie jednak nie zastąpi tego, z czym związało się ukochanie pokoleń polskich i co pamięć przeszłego bohaterstwa przekazywało potomności. Owo miasto kontrastów Starego Rynku z wieńcem ciastnych, krętych uliczek dokona i szerokiego zbiegu wydarzeń, czy też kto i w jakiej mierze upadku tego być przyczyną. Jedno jest pewne: ani Gen. Bór, ani nikt in-

ny w Warszawie nie zawińił tego, co spotkało stolicę. Nikt z nich nie mógł przewidzieć, że pobite i cofające się w nieładzie wojska niemieckie zdołają zatrzymać na linii Wisły, nie mającej większego znaczenia obronnego, zwycięską Armię Czerwoną i to w momencie, gdy ciężkie boje na zachodzie pozabawiły Niemców swobody użycia ostatnich rezerw strategicznych. Świeża porażka Sprzymierzonych pod Arnhem przypomniła starą prawdę, że na wojnie najlepiej nawet przygotowana i najostrożniej uplanowana operacja skończyć się może niespodzianym niepowodzeniem. Krytykom powstania warszawskiego warto dać to pod rozwagę, warto też uprzytomnić stosunek spokojny i godny społeczeństwa angielskiego do tego faktu oraz oklaski w kinach, gdy na ekranie ukazuje się postać mężnego dowódcy brytyjskiej dywizji spadochronowej, ocalałego z pola boju. Mimo całego ogromu strat — klęska Warszawy nie jest jednak

katastrofą. Ani utrata wielu dywizyj na ziemiach, zajętych przez Rosję, ani utrata Korpusu Warszawskiego — nie unicestwiły Armii Krajowej, która w dalszym ciągu w codziennych, mało efektownych, lecz skutecznych walkach zadaje Niemcom cios po ciosie. Byłoby niedocenieniem narodu polskiego mniemać, że upadek Warszawy przerwie tę walkę, lub pozabawi nas całego wartościowego aktywu wojskowego. Na podstawie wielu doświadczeń mamy prawo z całym spokojem stwierdzić, że dopóki istnieje naród polski — nigdy nie zabraknie mu woli do walki o wolność i niepodległość i nigdy nie zabraknie mu ludzi, którzy do walki tej staną. Klęska Warszawy nie jest zakończeniem, lecz etapem naszych dążeń do zajęcia w świecie pozycji państwa prawdziwie suwerennego. Etapem bardzo bolesnym, lecz nie końcowym. "Wierzmy w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości nad złem" — to nie są moje słowa, to nie są nawet słowa nikogo z przewodców warszawskich, to są ostatnie słowa, które bezimienny telegrafista warszawski, ktoś nie z karmazynów, lecz z szaraków, przesłał do Londynu w momencie przerywania łączności, na parę godzin przed niewolą. Któż z nas owego nieznanego żołnierza pomówi o skłonność do frazesów i któż z nas nie dojrzy w jego słowach przekonania, pięknego jak życie i mocnego jak śmierć, wyniesionego z ognia Warszawy?

Wydawać by się mogło, że niewątpliwa wielkość obrony Warszawy położy kres owej kampanii kłamstw i oszczerstw, którymi od pewnego czasu obrzuca się naród polski. Bez wątpienia — Warszawa wstrząsnęła sumieniem świata, nie na każdej jednak długości geograficznej. Celem szczególnych ataków stała się osoba bohatera Warszawy Gen. Bora, ataków równie niskich, jak naiwnych. Któż uwieryzy oświadczeniu, że Armia Krajowa mogła się była przebić z Warszawy na Pragę, gdy Armia Czerwona nie zdołała się przeprawić z Pragi do Warszawy. Co sądzić o twierdzeniach wygłaszanych jednym tchem, że Gen. Bór nie nawiązał łączności z Rosjanami i że była dostateczna łączność, aby przygotować przeprawę na brzeg praski? Co powiedzieć o zarzucie, że Gen. Bora nie było w Warszawie, gdy tam właśnie Niemcy wzięli go do niewoli.

Osoba Gen. Bora stała się również przedmiotem niemieckich spekulacji politycznych. Wróćmy mu wielką przyszość, Niemcy ogłosili na całym świecie, że istnieje możliwość zmiany w stosunkach polsko-niemieckich i że wstępem do tego jest "wielkodusznosc", okazana potraktowaniem obrońców Warszawy jako kombatantów. *W rzeczywistości możliwość taka nie istnieje. Jest rzeczą niewątpliwie przy-*

krą, że postępowanie władz rosyjskich na terytorium Polski, zajętym przez Armię Czerwoną, czy też n.p. brak uznania przez Rosję Armii Krajowej za kombatanta — dostarczyły propagandzie niemieckiej wiele materiału. Nie zmieni to jednak w niczym naszego stosunku do Niemców. Z Niemcami walczyliśmy, walczymy i walczyć będziemy aż do ich pogromu. Taka jest niezmienna linia polityczna narodu polskiego.

### GENERAL BÓR

Wysunięcie Gen. Bora w tych naiwnych kombinacjach jest jeszcze jednym dowodem niezdolności Niemców do poznania naszej psychologii. Gen. Tadeusz Bór-Komorowski, jak nikt inny może, stał się żywym symbolem walki naszej przeciwko Niemcom. Gdzie indziej skreśliłem już jego sylwetkę, tutaj przeto ograniczam się do podania najbardziej zasadniczych rysów tej rycerskiej postaci. Nie należy on do ludzi, umiających robić świetną karierę. Osobista skromność i niechęć do podkreślania swych zalet trzymały go raczej na uboczu w okresie, dzielącym dwie wojny światowe.

Doskonały kawalerzysta o niezwykłej odwadze osobistej — dowodził jako młody rotmistrz /ur. w r. 1895/ 12 pułkiem ułanów w sławnej bitwie pod Komarowem w dniu 31.VIII.1920 r. i walcnie się przyczynił do zwycięstwa 1 dywizji jazdy. Po awansie na majora /1923/ w latach 1925-1926 jest komendantem szkoły podoficerskiej w Jaworowie, po czym w r. 1927 wraca do swego macierzystego 9 pułku ułanów, w którym sprawuje funkcje zastępcy i jednocześnie p.o. dowódcy pułku. W pułku tym awansuje na podpułkownika /1928/, obejmuje jego dowództwo /1932/, następnie awansuje na pułkownika /1933/. W r. 1936 zostaje się ze swym pułkiem i obejmuje Komendę Centrum Wyszkozenia Kawalerii w Grudziądzu, szkolącego oficerów zawodowych i rezerwy. Na stanowisku tym, dostępnym tylko dla ludzi wielkich zalet charakteru i umiejętności wojskowych zastaje go wybuch wojny w r. 1939.

W kampanii wrześniowej dowodzi brygadą kawalerii. Uniknąwszy szczęśliwie niewoli — od jesieni 1939 r. oddaje się konspiracyjnej pracy niepodległościowej, obejmując komendę Obszaru Krakowskiego Armii Krajowej. Na stanowisku tym /od maja 1940 r. jako generał brygady/ wykazuje nie tylko zdolności organizacyjne, ale i umiejętność współpracy ze stronnictwami politycznymi w Kraju, które zjednywa sobie swym taktem, rzeczowością i urokiem wielkiej osobistej prawości. W r. 1941 mianowany zostaje zastępcą Komendanta Głównego /Dowódcy/ Armii Krajowej, a jednocześnie Komendantem Obszaru Zachodniego, obejmującego okręgi poznań-

ski i pomorski. W tym charakterze przeprowadza dokładną inspekcję tego obszaru, co samo przez się w ówczesnych warunkach było wyczynem dużej miary, jeśli się zważy, że przy samym tylko przekraczaniu granicy między t.zw. Gen. Gub. a Ziemią Zachodnimi w ręce policji niemieckiej wpadała więcej niż połowa przechodzących.

W połowie 1943 r. Gen. Bór, po aresztowaniu ówczesnego dowódcy Armii Krajowej, sam obejmuje jej dowództwo. Na ten okres przypada ostateczne zorganizowanie Armii Krajowej, wzmocniona akcja dywersyjna i partyzancka, ustalenie dokładnych planów walki o twartej i przejście wreszcie do tej walki w ramach t.zw. planu Burzy w miarę przesuwania się na zachód frontu niemiecko-rosyjskiego. Bohaterskie powstanie w Warszawie, kierowane osobiście przez Gen. Bora /już jako gen. dywizji od marca 1944 r./ było przewidziane w tym właśnie planie.

Praca Gen. Bora nie ogranicza się jednak z konieczności do samych tylko funkcji wojskowych. Wielką jego zasługą jest ułożenie ścisłej współpracy pomiędzy Armią Krajową a czynnikami cywilnymi i politycznymi Polski Podziemnej, oraz przyczynienie się w dużej mierze do wielkiego dzieła Jedności Narodowej, którego od samego początku był gorącym orędownikiem. Umysłowi Gen. Bora obca jest wszelka krańcowość, mimo to jednak wyczuł on doskonale prąd radykalizmu społecznego nurtującego Kraj i domagał się od czynników politycznych szerokich reform społecznych, których zarysem stała się później Uchwała Rady Jedności Narodowej z 15.III.1944 r.

W pracy konspiracyjnej i w boju cechowały Gen. Bora spokój, systematyczność i dokładność. Obdarzony wielkimi zdolnościami dowódczymi — nie popadł w zarozumiałość, umiał dobrać sobie podwładnych i stworzył ową szczerą atmosferę życzliwej wzajemnej współpracy, dzięki której dowódca zjednywa sobie sympatię i zaufanie swych podkomendnych, nie tracąc nic ze swego autorytetu. Wielkie cenieńie godności ludzkiej wyrobił w Gen. Borze przekonanie o potrzebie prawdziwej demokratycznej ustroju Polski, a na odcinku wojska wyraziło się w sympatii do pomysłów jego demokratyzacji. Jeszcze w czasie poprzedniej wojny ówczesny rotmistrz Komorowski posiadał opinię niezawodnego towarzysza kolegów i podwładnych. Opinii tej nie zawiódł Gen. Bór, gdy dzieląc los swych żołnierzy udał się wraz z nimi do niewoli. Byłoby rzeczą mylną sądzić, że kierowało nim tylko poczucie rycerskości, tak właściwe całej naszej tradycji wojskowej. Tkwiło w tym jeszcze coś więcej: oddaniem swej osoby Gen. Bór wyjednał dla swych żołnierzy i dla ludności stolicy możliwie najkorzystniejsze warunki. W chwili gdy szedł do niewoli — towarzyszyła mu nie wizja rycerskiego pióropusza, ale przekonanie o pełnym głębokim dostojeniu spełnieniu do końca swego obowiązku. Bohaterska epopeja stolicy przeszła już do historii. Jakimżeż słowem, dostatecznie dumnym i potężnym, nadać jej miano? Znajduję tylko jedno: słowo — symbol, słowo — pomnik, słowo — hasło, słowo — odtąd zawołanie polskich żołnierzy, bojowników o wolność: Warszawa.

ANDRZEJ POMIAN

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych

Wódz Naczelny, gen. dyw. Tadeusz Komorowski, dzieląc los swoich żołnierzy Korpusu Warszawskiego jest w niewoli niemieckiej.

Jako dowódca Armii Krajowej i jako dowódca walczącej Warszawy gen. Komorowski wypełnił w najcięższych warunkach z nadludzką siłą ducha swój obowiązek żołnierski do ostatka.

Dziękuję mu za to w imieniu Rzeczypospolitej.

Wierzę, że niedaleki jest czas, który przywróci mu wolność i pozwoli mu stanąć na powierzonym mu stanowisku na waszym czele.

PREZYDENT R.P. WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

Z polecenia Prezydenta R.P. zarządzam z powodu upadku Warszawy z dniem dzisiejszym dwutygodniową żałobę w Siłach Zbrojnych.

Należy nadożyć krepę na chorągwie i sztandary, powstrzymać się od udziału w zabawach i innych rozrywkach publicznych.

We wszystkich oddziałach oraz na okrętach R.P. odprawić nabożeństwa żałobne za poległych w Warszawie.

2.X.1944r.

MINISTER OBRONY NARODOWEJ GEN. M. KUKIEL







# Obleżenie Warszawy w 1939 roku

Nigdy bym nie był dotarł w porę na obleżenie Warszawy, gdyby nie spotkanie dywizji gen. C. na rozstaju dróg w środku Kampinosu. Niepoznanego, zaginionego w fali bezimiennych uchodźców piechura wylowili znajomi oficerowie. Przykazali, jako dziennikarzowi, być przez kilka chociaż godzin świadkiem ich bezsilnego szamotanania się z naporem piorunującym zmieniających się zdarzeń.

Wieczór i noc w leśniczówce u progu puszczy zetknęły mnie z kłopotami dowódcy i sztabu polskiej dywizji w 1939 roku. Dywizja, a był to 11 września, po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny znalazła się w miejscowości, w której pozostała policja, w której komendant posterunku policyjnego rozdzielał żołnierzom kwatery a komitet obywatelski, z miejscowym proboszczem na czele, ciepłą, ciepłą i strawę i świeżo pieczony, nie spleśniały chleb. Gospodarze leśniczówki gościli sztab kolacją, chłodnym zsiadym mlekiem, owocami. Martwili się, że jeden z oficerów nie będzie miał łózka, tylko siennik na ziemi, i że pan dziennikarz prześpi się pod oknem tylko na kozuchu gajowego.

Jakby na manewrach, gdyby nie głęboka troska na twarzy generała, i opowiadanie jego szefa sztabu o cofaniu się na pozycje, z góry wyznaczone, na których nie zastano przyrzeczonej pomocy i dalszych rozkazów; gdyby nie wpadający co chwilę dowódcy pułków i adiutanci, raportujący o topnieniu stanu jednostek do dziesiątych, donoszący o wyczerpaniu wojska, ledwo wlokącego nogami, skarżący się na brak łączności, kłających odległe, naczelne dowództwo.

Pamiętacie nasze przedwojenne defilady? Nie dawały prawdziwego obrazu naszego wojska. W piachu leśnych dróg, wśród wyniosłych sosen i żebraczy w las wtulonych brzoź oglądałem rozwinięty szyk jednej z naszych dywizji. Postępowała, od kurzu szarzała, zmęczeniem przygarbiona garstka. Słońce otulało ją bardzo troskliwie ciepłą aureolą promieni. Jakies ocalałe działo z artylerii dywizyjnej, parę połamianych samochodów ciężarowych, zziębnięte konie. I mundury zdarte, dziury w butach. Twarzy spod brudu trudno dociec. Tylko jarzące ogniem oczy. One jedne przypominały przedwojenne defilady. One jedne tłumaczyły dlaczego generał Thomme z taką armią, tak długo potem jeszcze bronił Modlina. Obrony Modlina od bohaterskiej walki stolicy odłączać nie należy.

Oddziały nie wypalały gromkiem: "czolem panie generale," gdy "łazik" dowódcy przesuwał się po skraju drogi, w takim ciszy, że słychać było tylko szum lasu i stęk motoru. Od szeregów, co chwilę odrywał się jakiś oficer i coś spokojnie raportował, po czym znowu ginął w żołnierskiej masie. Generał często schodził i coś tłumaczył swym ludziom, czymś pocieszał. Dlatego nie rozumiem zapamiętania, z jakim potem niektórzy próbowali układać dwie historie września, jedną żołnierską, drugą oficerską.

Z generałem, na "łaziku," dotarłem do pustej szosy Modlin-Warszawa. Wybuch pociągu amunicyjnego, eksplodującego od bomby, zwał mnie do rowu pod Nowym Dworem. Przygodnie spotkany motocykl wojskowy dowiódł do Warszawy. U wylotu ulicy Zakroczymskiej zapytałem zandarmu wojskowego o najkrótszą drogę do Prezydium Rady Ministrów.

—Poco? —zapytał zdziwiony.

—Chcę zgłosić się w Wydziale Prasowym —odpowiedziałem.

—Panie, rządu ani ministerstwa nie ma już pośród nas —dorzucił.

Na przedpolu stolicy mało kto o tym wiedział. Jeszcze w czasie obleżenia Warszawy można było spotkać ludzi, którzy w to nie chcieli wierzyć. Gdy miastu zabrakło wody, gdy przed podwórzową pompą trzeba było ustawiać się z wiadrami w długi "ogonek," wychodzący poprzez gruzy bramy na ulicę, taki czy inny mądrała opowiadał o Prezydencie, który chodzi od okna do okna Zamku i patrzy przez szyby na ochotnicze oddziały, ciągnące broń z Pragi, na ludzi usuwających rumowiska z ulicy, na saperów latających dziury w moście. Nie chciano wierzyć, aby Warszawa była tak

bardzo sama. W tym przejawiała się nauka dwudziestu lat niepodległego państwa, że społeczeństwo jest hierarchicznie zbudowanym organizmem, jest piramidą, którą odcięcie szczytu kaleczy, zupełnie niezależnie od tego, na jakich zasadach architektonicznych tę piramidę budowano.

Osobiste bohaterstwo, pogarda śmierci, znakomity zmysł organizacyjny i talent oddziaływania na zbiorowość wyniosły na szczyt hierarchii Stefana Starzyńskiego. Chociaż on był w Warszawie, desperacko broniącej Niemcom wdarcia się do jej serca, to jednak żołnierz w podmiejskich okopach ciągle czepiał się legendy o Naczelnym Wodzu. Gdy o zmroku 26 września, na Polu Mokotowskim lądował samolot z Bukaresztu, wśród żołnierzy rozeszła się wieść, że wrócił i jest z nimi marszałek Rydz-Śmigły. Przyszły tylko ostatnie od niego rozkazy. Rozwiali się wszystkie nadzieje.

Warszawę znałem, jak każdy człowiek z prowincji, którego interesy zmuszały do jeżdżenia do stolicy. Znałem kawiarnie z eleganckimi kobietami, teatry ze znakomitymi artystami, urzędy z biurokratycznie słamazanymi radcami, kandydatów na ministrów, dorożkarza, piorunującego na zbyt mały napiwek. Aleje, Nowy Świat, Marszałkowską, Stare Miasto. Bywałem na wódce u "kupca" na Miodowej, wałęsałem się po bufecie sejmowym, gdzie stałe przesiadywał Klub Sprawozdawców Parlamentarnych. Obleżenie Warszawy odsłoniło jej inne oblicze. Lud warszawski. Lud —takie banalne wyrażenie, ile jednak treści tkwi w pojęciu: lud warszawski.

Mali chłopcy — ci, którzy nagabywali gazetami i okrzykiem "panie prezesie" — przekradali się po kilka razy dziennie przez front i przynosili meldunki. Każdy z nich chował po kieszeniach jakies przepustki polskie i niemieckie; każdy, jeżeli nie miał, to uważał, że ma do spełnienia jakąś misję patriotyczną.

Kobiety, które wystawały godzinami, mimo huraganowego ognia artylerii niemieckiej w ogonkach za chlebem czy za wodą, nie skarżyły się na swój los. Odlamki granatów wyluskiwały po jednej,

po dwie z ogonka. Ogonek się kurczył. — "Moja pani, biedna ona, mąż na wojnie, małe dzieci". Rosło tylko napięcie nienawiści do Niemców i wzrastała wola oporu.

Mężczyźni spełniali swe obowiązki przy wodociągach, w elektrowni, w warsztatach, sprzątali potłuczone szkło, gasili pożary, poprawiali barykady, pchali się na ochotnika do robotniczych batalionów. Słyszałem nieraz ich gawędy. — "Będziemy wieszac, jeżeli poddadzą Warszawę!"

Narzekania, że obrona nie ma sensu, że Starzyński oszalał, że szkoda ludzi i szkoda murów — były bardzo, bardzo rzadkie. Jeżeli zaś padały z czyichś ust, to na pewno wygłaszał te opinie ktoś, przeważliwszy wrażliwością inteligenta.

Militarna obrona Warszawy, jakże trudna wobec zlepkę oddziałów, które mieli do rozporządzenia gen. Rómmel i gen. Czuma, wobec braku nie tylko wyposażenia oraz amunicji, ale i środków opatrunkowych, stała się możliwa tylko dzięki duchowi mieszkańców miasta. Równemu tak na Nalewkach, jak i na Czerniakowie. I dlatego nieraz myślałem, że na jednym z placów odbudowanej Warszawy trzeba będzie postawić pomnik — Nieznanemu Mieszkańcowi Stolicy, za jego bohaterstwo w 1939 roku.

A były chwile ciężkie do zniesienia. Najpierw ciągnął groza głodu. Nad aprowizacją czuwał nie tylko zarząd miasta, który pracował przez cały czas obleżenia, bez przerwy, normalnie, ale i osobny wydział aprowizacyjny, kierowany przez kilku oficerów rezerwy z Wielkopolski. O ile się tylko dało, co noc wyruszała wyprawa cywilno-wojskowa na dalekie przedpola Warszawy, nieraz głęboko na tyły wojsk niemieckich, aby przed światem przywieźć jakąś mąkę, parę świń czy bydła do uboju, często trochę mleka. Rotmistrz S. z Poznania stał na czele tej akcji, mającej wszelkie cechy roboty przemysłowej. Mało te starania pomagały. Utykał transport po mieście. W końcu nie było co transportować. Ludność czyhała na padlinę, aby ostrym kozikiem wyciąć sobie przetrzymanie jeszcze jednej doby. Resztkami koni, pozostawianymi przez ludzi, żyły psy. Trudno mi zapo-

mnąć zgrałę dużych i małych, ale równie głodnych psów, goniącą chudego wyżyła z okrwawioną ludzką ręką w pysku.

Co chwilę waliły się mury. Co chwilę pękał granat. Co parę godzin wracały samoloty niemieckie i zamieniały bloki kamienne w sterczące ku niebu kikuty. Wreszcie zabrakło wody i miasto zaczęło płonąć.

Ludzie próbowali wynosić dobytek na ulicę, zawałowały go ruiny sąsiedniego domu. Ludzie próbowali uciekać z alei dwuszeremu płonących budynków, aby stanąć u wylotu ulicy, zagrodzonej kupami ściętych i wyrw. Nie ma przejścia. Wracać. Gnali wtedy w podwórza, robzili ploty, aby dostać się na teren kamienic przy drugiej ulicy. Byle uciec od duszącego dymu i padających żagwi. Wielu, bardzo wielu się to nie udawało. Nie było komu gasić żywych pochodni. Ci, którzy uchodzili z tego piekła znowu powtarzali: — "Będziemy wieszac, jeżeli poddadzą Warszawę."

Były godziny w nocy, gdy miasto, jak ciężko chory w wielkim bólu, nie miało. Mimo gwizdu pocisków nad głową szło się Marszałkowską, Złotą, Bracką, Mokotowską, słysząc tylko stuk własnych kroków, trzaski ognia trawiącego mijane kamienice, cichą rozmowę patrolu Straży Obywatelskiej, który przystanął w którejś z ocalałych bram. Poza tym spokój.

Szary człowiek warszawskiej ulicy nie umiałby wytłumaczyć w jaki ostatecznie wierzy cud końca tego oporu. Przewodcy obrony Warszawy, więc i wojskowi dowódcy i cywilna administracja miasta i dziennikarze i kierownicy stronnictw kierowali się różnymi przypuszczeniami co do możliwości ratunku. Pomocy z zachodu, jakiejś ofensywy po nadejściu do Warszawy armii gen. Kutrzeby z pod Kutna, przebicia się, gdzie? Długi czas liczono na pomoc wojsk polskich, zepchniętych na południowy wschód. Ale, właściwie, i oni też nie byli w stanie uzasadnić tych spekulacji. Co wiedzieli, to na pewno to, że trzeba jak najdłużej opierać się Niemcom, aby historia nie mieściła kampanii polsko-niemieckiej tylko w ramy kilkunastu dni. Więc idea heroiczna.

Ulotki niemieckie trafiały w próżnię. Śmiechem odpowiadała warszawska ulica na groźbę użycia gazu. Widziałem robotnika, który spoliczkował przechodnia, starannie chowającego ułotkę do kieszeni. Trzeba było je drzeć, a jeszcze lepiej z fasonem na nie splunąć. Niemcy tyle studiów i katedr na wyższych uczelniach poświęcili psychologii wojny, a tak naiwnie, ordynarnie, chamsko, zbrodniczo podeszli do Polaków i Europejczyków.

W sobotę, 23 września przedpołudniem, w gmachu Teatru Wielkiego, odbyło się zebranie prasowe, na które obok redaktorów pism i dziennikarzy z radiostacji Warszawa II, przybyli członkowie Komitetu Obywatelskiego stolicy, późniejsi zakładnicy. Między innymi był ksiądz Zdzisław Lubomirski i Mieczysław Niedziałkowski. Pierwszy, jakby przygarbiony troską i przecuciem zbliżającego się końca, drugi wyprostowany, bardzo blady, ale promieniujący ciągłą energią.

Starzyński wprowadził gen. T. jako reprezentanta wojska. Zobrazował on militarne położenie miasta. Nikt nie spodziewał się takiej oceny. Generał zapowiadał posunięcia ofensywne. Karcił małoduszność. Kazał wierzyć. Potępił pesymizm. W trakcie jego przemówienia artyleria niemiecka wstrzelała się w Ratusz. Przez dziurawą okno wpadł odlamek żelaza i wylądował na zielonym suknie w środku stołu konferencyjnego. Lubomirski, stańczykowski realista, odzwał się: — "Jest trochę inaczej, panie generale."

Tego dnia stanęła elektrownia. Skończyły się telefony. W barze Hotelu Europejskiego, który bez przerwy, nawet przy świeczkach, wydawał zupełne i czasami uszczelniał kieliszek, znany dziennikarz przekonywał kolegów z Gdańska i Pomorza, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Cóż mogło złamać ten optymizm?

Tego dnia widziałem żołnierzy z armii Kutrzeby. Resztki tego, co przebiło się znad Bzury. Poko-tem walił się z nóg do snu po bramach, kłatkach schodowych, pozostałościach mieszkań. Warszawa przygarnęła ich na chwilę odpoczynku. Oni oddawali jej resztkę zapasów, które uratowali w odwrocie spod Kutna. Cała Chmielna i Widok karmiły się do końca obleżenia kuchnią połową jednego z wielkopolskich pułków piechoty. Major, dowodzący resztkami 15 pułku ułanów poznańskich, prosił, abym przez radio apelował do społeczeństwa o dostarczenie mu koni, żywych koni, dla uzupełnienia braków w szeregach oddziałów. Ścisnął mi mocno rękę. Przekonywał tym samym wyrazem oczu, jaki promieniał z pyłu drogi w środku Kampinoskiej Puszczy, kędy rozbitki dywizji piechoty szły wespół obronę Modlina.

Warszawa ofensywy nie poprowadziła. Majorowi konie stały się niepotrzebne. Nadszedł najtragiczniejszy dzień pierwszej bitwy o Warszawę. W południe 27 września, było to w śróde, nad ruinami, zniszczeniem, ciągle płonącymi ogniami zaległa cisza. Miasto, jakby wstrzymało oddech w oczekiwaniu. Niemcy odstepują od miasta? Czyba nie poddadzą stolicy? Przecież jeszcze można walczyć, choćby nożami i ukropem. Może tylko zawieszenie broni dla grzebania trupów? Nie — kapitulacja. Każdy z mieszkańców Warszawy odczuł to najgłębiej. Ten dzień przeżyć było najcięższe. Było kilka wypadków samobójstw. Ale już i myśl o oporze podziemnym, chowanie broni po piwnicach, przygotowywanie ucieczki na Zachód. Na razie jednak paranie się z rzeczywistością. Żołnierze szukali ubrań cywilnych, aby uciec przed niewolą. Lud warszawski szukał dachu nad głową.

Otwarty samochód prezydenta miasta jeszcze raz pokazał się na mieście. Starzyński był tym razem po cywilnemu. Przez cały czas obleżenia chudł i zółkł. Teraz jechał blady jak papier, jakby ostatnia krew wyciekła z twarzy. Zmęczenie, rozpacz? A może przecucie tego, co mu gotowali Niemcy w obozie koncentracyjnym.

## BARYKADA

*Noc. Okręt rytmicznie się kotłuje  
I na gładkiej wodzie kreśli zygaki.  
Fale skrzydlate jak spłoszone ptaki  
Uciekają gdzieś — i giną.*

*Wtem słyszę:  
Lewo dwadzieścia nieprzyjacieli, —  
Niemcy!  
Lewo na burt!*

*Okręt się kładzie —  
Nieprzyjacieli przed dziobem.*

*Kąt kursowy, a potem — ognia!  
Więcej, strzelać więcej!*

*Bo tam... widzisz?... o tam.*

*— Gdzie? tam przed dziobem? — To nie ścigacze,*

*To czołgi idą na barykady.*

*To działa, moździerz, to ognia miotacze*

*Idą i idą, a przed nimi — stój! nie strzelaj! ...*

*Szaniec żywy: — kobiety i dzieci w tachmanach.*

*Otrzyj łzy, spokojnie patrz i pamiętaj*

*To widmo maskarady.*

*W pocisków świetlnych, w raket fontannach,*

*Płonie niebo i płynie Kolumna Zygmunta —*

*To Warszawa płonie.*

*Jak pochodnia wolności, tu, pod obcym niebem  
W wym zranionym tonie,  
Warszawa płonie.*

*A na barykadach, chłopcy z Powiśla i z Woli,  
Bezimienni rycerze, z ognia kurzawy  
Wiją śmiertelne wrogowi wieńce  
I wolność: Wolność dla Warszawy!  
Bracie mój, celuj wyżej, prosto w czołgi  
I módl się: Niech będzie przeklęty  
Ten, który tyranię i krwawe czci bogi!  
Za krew umęczonych, każdy pocisk twój  
Będzie święty.*

*— Cicho, jak wpiór płynie nasz okręt,  
Barykada ze stali, z ognia i z sere,  
A nad okrętem płynie Kolumna Zygmunta.  
Głowa marynarza płonie.*

*Nagle wybuch — dostał! ścigacz tonie!*

*Nie — to czołg roztrząskany pada.*

*Gorący karabin mocniej cisną dlonie,*

*Patrz — biegną dzieci i kobiet gromada,*

*Ocaleni, płaczą. Tu już dom i wolność:*

*BARYKADA — BARYKADA.*

*— Tak Cię co noc widzę w Angielskim Kanale*

*Miasto radości i cierpienia,*

*Miasto bez domów i bez bruku,*

*Dumne i samotne w walki zapale.*

*Ciebie przemoc nie złamie i śmierć nie zwycięży —*

*Bo jesteś z płomienia.*

*I tak co noc twe puste przemierzam ulice,*

*Gdzie na grobach milczące spoczywają cienie*

*I wszystko co jest walką Twoim chrzcę imieniem.*

*W królestwie cierpień tylko znam jedną Stolicę.*

O.R.P. "Krakowiak" 16 sierpnia 1944 r.

TOMASZ APPEL

JÓZEF WINIEWICZ



# Z frontu zachodniego

## Wyprawa do wyrzutni "bomb latających"

Francja we wrześniu

Dzień ten zaczął się pod specjalnymi auspiciami. O 6-ej rano, gdy dopiero zacząłem wypływać się z pomiędzy koców, kierownicy, drążków i lewarków szoferki opancerzonego samochodu, gdzie spędziłem noc — doszedł mnie cichy na razie, lecz stopniowo coraz wyraźniejszy huk. Powiało raptem Londynem, łóżkiem, łazienką, jedzeniem na siedząco, a spaniem na leżąco. "Bomba latająca"! Stary dobry znajomy z poranną wizytą! Huk narastał, pancerne drzewiczki poczęły dygotać zgodnie z nim i dzwonić przeraźliwie, a ów ślepopatrz szedł jak zwykle "wprost na mnie", przepisowo wstrzymał swój motor "nad moją głową" i huknął gdzieś w polu, "bardzo blisko". Z drzewa spadło jabłko, uderzyło o pancerz samochodu; pomiędzy czołgami ukrytymi wśród drzew rozpoczęła się walka, a nawet służbowy się obudził i poczęł gorliwie wrzeszczeć przemierzając szybkimi krokami i przemocznymi butami owocowe sady: "Pobudka! pobudka!"

Jak się okazało nietylko ja byłem wzruszony tą poranną wizytą, temat ten stał się ważniejszy nawet od zmartwienia poprzedniego wieczora, że nieprzyjaciel wywieją zbyt szybko, aby go można było dogonić, i że wozy pozostawione przez niego są albo spalone, albo już splądrowane przez ludność i z tego powodu nie można zdobyć tak bogatych łupów w postaci koniaku, Benedyktynki i cygar, jak to było pod Chambois.

Jeszcze jest ciemno, gdy opiszę się gorącą herbatą z termosów napełnionych poprzedniego dnia, jeszcze przed black-outem — zajmujemy miejsca i pułk hucząc i terkocząc wyciąga się długą kolumną po szosie. Rozwidnia się i nawet słońce po całonocnym deszczu zaczyna wyglądać zza strzępiastych chmur. Wzdłuż drogi ludność wita nas machając rękami, chorągiewkami francuskimi i angielskimi, a czasami nawet polskimi. Od czasu do czasu spotykamy ślady pośpiesznego odwrotu: popalone, często dymiące jeszcze samochody, porozbijane wozy konne i niezliczone końskie trupy.

Gdy postój wypada w jakimś osiedlu, czołgi otacza tłum ofiarowujących kwiaty, cidre a czasami prawdziwy, ognisty Calvados. Obdarte

i nieogolone typki z opaską na rękę i karabinem za plecami uwiązają się energicznie, wylapując po lasach i rowach maruderów niemieckich, a gdy w jednym z miasteczek, wśród rozentuzjasmowanego tłumu, ktoś na widok grupy prowadzonych jeńców krzyknął: — "Les Boches!" momentalnie w najbliższym zasięgu jego głosu poginęły w sposób szybki i tajemniczy wszystkie alianckie chorągiewki. Niemcy byli tu jeszcze rano i rekwirowali konie i rowery, uciekając na północ "do Belgii", jak twierdzili jeńcy — Polacy.

A tych bierzemy sporo. Skarżą się, że Niemcy ich pilnują i że tak trudno jest uciec, oraz narzekają na lotnictwo alianckie i artylerię, która zmusza ich do ciągłego ukrywania się. — "Niech pan popatrzy, jaki jestem blady" — powiada jeden z nich — "przecież ja od miesięcy maszeruję w nocy, a w dzień śpię pod ziemią". Młody, energiczny Ślązak, klnąc od "pieronów" zwierza się, jak mając możliwość korzystania z radia nastawiał go na londyńską stację i wiedząc o oddziałach polskich we Francji starał się od dłuższego czasu do nich dołączyć. Ostatnie cztery dni spędził ukryty w lesie, czekając na

ucieczkę Niemców i na widok pierwszych czołgów wylazł na drogę a los chciał, że to były czołgi polskie. — "Te pieruny — powiada — kłamią nam i oszukują; myśli pan, że mają tajemniczą broń? To są nasze nogi na których uciekamy".

Po południu pułk staje za wsią na czas dłuższy. Rozpoznanie donosi, że na rzece mosty są zerwane, a miasto, które jakoby miało być zajęte przez Kanadyjczyków jest ciągle w ręku nieprzyjaciela, który kładzie dość mocny ogień moździerzy i działek ppanc. Zaczyna się nudna i pracowita działalność patroli i artylerii. Tego dnia obiad mi nie smakuje, a ręce zdają się być brudniejsze, niż zwykle. Cień "latającej bomby" zawisł widocznie nade mną.

Jest beznadziejnie nudno i szaro, gdy raptem jeden z patroli komunikuje, że w lesie odległym o półtora kilometra są jakieś tajemnicze budowle. Korzystam z pierwszej okazji i siedząc na wieży wywiadowczego czołgu jadę na zwidy. Czołg skacze po brzdach i dziurach, więc kurczowo trzymam się jedną ręką anteny, a drugą czegoś, co mi przypomniał czajnik, a co nim prawdopo-

dobnie nie jest. Im bliżej lasu tym więcej olbrzymich lejów — śladów bombardowań alianckich. Dojeżdżamy do skraju i dalej wędrujemy piechotą.

Teraz dopiero mogę się naoznoczyć przekonać o potężności ciężkich bomb lotniczych. Duże drzewa nie są ani popękane, ani połamane, ale wprost wyrwane z ziemi i rzucone o kilkanaście metrów. Tak samo ukryte wśród krzaków jakieś grubościennne i grubosufitowe schrony betonowe są przesunięte razem z otaczającą je ziemią z miejsca na miejsce i pogniecione, jak tekturowe pudełka. Bomba nie musi trafić w 60-centymetrowy dach, wystarczy, że uderzy o kilka metrów od takiej budowli, aby zostały z niej chaotycznie pomieszczone bloki. Sama wyrzutnia nieskończona jeszcze, bo bez pomostu, składa się z dwóch pochylonych betonowych ścian o długości około 70 metrów i u końca wysokości plus minus 8 metrów. Szerokość jej 4 — 6 metrów. Trafiona na początku i na końcu, nigdy nie była używana i prawdopodobnie Niemcy zaniechali jej wykończenia, gdyż zniszczenie terenu jest idealne i kompletne. Ocalali jedynie niewykończone dwa schrony mieszkalne

z dużą salą pośrodku i szeregiem pokoi mieszkalnych po dwóch jej bokach.

Przeskakując przez zwalone pnie drzew, omijając głębokie leje, a ciągle bacnie patrząc pod nogi w obawie przed jakąś złośliwie pozostawioną niespodzianką, wychodzę z lasu na pole. Czuję się jakbym wyszedł z domu, gdzie spoczywa nieboszczyk. Ale nie czuję żalu — poranny sentyment do "ślepoprata" przysł — był on jedynie wywołany skojarzeniem z komfortem życia cywilnego, wygodnym spaniem i czystymi paznokciami. Po miesiącu prawie pobytu w linii są to już rzeczy tylko przyjemne, ale nie niezbędne.

Włażąc z powrotem na czołg i zabrudziwszy nie wiem po raz który tego dnia ręce o jakiś lepki smar, czuję się dużo bardziej swojsko. Deszcz zaczyna mżyć, a uparty moździerz niemiecki śle pociski za pociskami na sąsiednie pole, szukając rozpalczliwie nas, czy może naszej artylerii. Za rzeką pali się miasto i na odległej zrosie raz po raz wybuchają nowe krótkotrwałe pożary. To nieprzyjaciel niszczy swój sprzęt.

I następuje kompletna powrotna równowaga ducha wyprowadzona o świcie przez "ślepoprata". Czuję już tylko żal, że wozy będą spalone i lupy wojenne zginą razem z nimi. A tak gwałtownie potrzebuję czegoś do napełnienia manierki, brakuje mi papierosów i całych skarpetek!

Od okolicznej ludności zbieram parę faktów o "latających bombach". A więc wyrzucanie ich nie jest prawdopodobnie rzeczą taką prostą, jak się zdaje. Podobno bardzo często bomba nie leci w kierunku malezytym, a zmienia bieg i pada, tak jak poranna, gdzieś na terenie francuskim. Mały defekt w sterach lub zacięcie jakiegoś mechanizmu powoduje, że zaraz po starcie bomba się przechyla i wybuch bardzo blisko wyrzutni.

Przywozi się je z Niemiec ciężarówkami. Za taki transport płacili Niemcy 25.000 franków, a robotnicy pracujący przy samych wyrzutniach pobierali 1000 franków dziennie. Widocznie "ślepoprat" jest bestią złośliwą. Nie czuję już do niego ani cienia sentymentu.

MARIAN WALENTYNOWICZ

rysował MARIAN WALENTYNOWICZ



Gandawa 28 września.

Porucznik B.S., który walczy obecnie w Holandii, jest z wykształcenia prawnikiem i przed wojną pracował w jednym z naszych wielkich przedsiębiorstw hutniczych na Śląsku. Nie śniło mu się nawet, że losy wojny rzucą go do Wielkiej Brytanii. Nie słyszał nigdy o Chambois, gdzie jego pułk miał się okryć chwałą. Nie marzył nawet o wyzwalaniu dużej połaci Flandrii. Nie było zresztą takiego proroka, któryby przepowiedział losy tej wojny. Sam zaś porucznik B.S. nigdy, nawet w najśmielszych swoich marzeniach, nie myślał, że we wrześniu 1944 r. zostanie magle kapitanem okrętu niemieckiej marynarki wojennej. Okręt to wprawdzie niewielki, a kariera morską porucznika krótka, ale epizod ten był może jednym z najdziwniejszych, jakie nam ta dziwna wojna przyniosła.

Trzeba zresztą od razu zaznaczyć, że cały jego pułk dokonał czegoś całkiem nowego w dziejach wojen, a mianowicie walczył z jednostkami niemieckiej marynarki wojennej.

### CZOŁGI PRZECIWK BARKOM

Zaczął się to wszystko w dniu 20-ym września, dokładnie miesiąc po bitwie pod Chambois. "Cromwell'e" naszych pancernych podchodziły w pobliże portu Terneuzen. Rzeka w tym miejscu jest jakiegoś czterech kilometrów szeroka i ewakuacja cofających się oddziałów niemieckich nie była łatwa. Nieprzyjaciel używał do tego celu barek szturmowych, patrolowców i innych niewielkich okrętów.

Wysunięty szwadron pułku dostrzegł trzy takie barki pokazujących rozmiarów, które uknęły na mieliznie w odległości czterech kilometrów. Otworzył ogień. Nasza artyleria wkrótce przyłączyła się do akcji. Celne pociski trafiły

## Morskie boje pancerniaków

w barki niemieckie. Piechota nieprzyjacielska zaczęła wyskakiwać na mieliznę i tyralierą brnąć w stronę odległego brzegu. Polacy położyli ogień i przez lornetkę można było widzieć, jak tyraliera niemiecka padała...

Niemcy mieli jeszcze grunt pod nogami, ale nie było dla nich ratunku. Mielizna nie miała połączenia z lądem i rozbitkowie skupiali się coraz bardziej na jej najdalszym skrawku. Było to już poza zasięgiem naszej artylerii, ale czego nie dokonały polskie pociski, to zrobił nadchodzący przypływ. Z wyjątkiem nielicznych szczęśliwych, których wyratowały motorówki niemieckie, wszyscy rozbitkowie w liczbie kilkuset zginęli.

To samo powtórzyło się w dwóch innych punktach i w sumie pułk ten przy wsparciu artylerii zniszczył sześć wielkich barek niemieckich oraz zdobył jeden okręt patrolowy.

I tutaj właśnie zjawia się na scenie porucznik B.S.

### PATROLOWIEC "X."

Tegoż dnia, w godzinach popołudniowych porucznik B.S. dostrzegł w odległości kilkuset metrów od mola rybackiego w... niewielki okręt niemiecki stojący na kotwicy. Na pokładzie nie widać było żywej duszy i zdawało się, że okręt był opustoszały. Porucznik postanowił zbadać sprawę osobiście i wejść na pokład. Udało mu się skłonić czterech rybaków holenderskich do zabrania go w łódce do okrętu.

Okazało się, że załoga rzeczywiście uciekła. Gdy porucznik z pistoletem w ręce wszedł na pokład nie znalazł ani jednego Niemca. Resztki niedojedzonego posiłku

świadczyły o tym, że nieprzyjaciel uciekł w pośpiechu. Ale dlaczego? Okręt był nieuszkodzony, magazyny pełne amunicji i żywności, zbiorniki paliwa zawierały dostateczną ilość ropy... Tajemnica wyjaśniła się wkrótce — na skutek defektu nie można było zapuścić silnika. Załoga, widząc polskie pociski wybuchające dokoła uznała, że należy ratować życie i pozostała na okręcie na łasce losu.

Porucznik postanowił przejąć tę jednostkę floty niemieckiej w imieniu swego pułku i przy pomocy Holendrów doholował patrolowca do mola. Następnego dnia miano przystąpić do naprawy silnika, a potem... Istniały już śmiałe plany przepłynięcia rzeki i zbadania przeciwnego brzegu, gdyż brak było danych o siłach i umocnieniach nieprzyjacielskich.

### RAPORT BOJOWY NR. 1.

W nocy z 20 na 21-go września porucznik B.S. zbudził się nagle koło czwartej nad ranem i postanowił sprawdzić, czy "jego" okręt jest wciąż przycumowany do mola. Niepokój oficera okazał się uzasadniony — okrętu nie było. Natomiast w ciemnościach porucznik zauważył małą łódkę oddalającą się od brzegu. Seria ze "Stena" skłoniła wiosłarza do powrotu. Był to Niemiec, który usiłował przepłynąć się na drugą stronę rzeki.

Po wzięciu go do niewoli porucznik B.S. w towarzystwie rybaka holenderskiego wyruszył łódką na poszukiwanie "swojego" okrętu. Szczęśliwym trafem natknął się nań w ciemnościach zaledwie kilkaset metrów od brzegu, wszedł na pokład i stwierdził, że okręt jest nadal pusty, po czym zarzucił kotwicę.

W ciągu dnia na pokład weszła "załoga" złożona z czterech żołnierzy. Porucznik postanowił następną noc spędzić z nimi na okręcie. Po zmroku usłyszeli nagle szum silników jakiegoś okrętu, potem krzyki i wreszcie w ciemności zaczęły w stronę zdobytego patrolowca padać strzały z działek.

W archiwum pułku znajduje się krótki dokument opisujący to wydarzenie: jest to raport bojowy nr. 1 z pokładu patrolowca.

"Dnia 21.IX.1944 r. — czytamy — o godzinie 20,50 z kierunku ptn. wsch. zamagażował nas patrolowiec npla. Po 30 minutowej walce ogniowej npl. wycofał się w kierunku ptn. wsch."

### PODNIESIENIE BANDERY

Nazajutrz na pokładzie patrolowca wrzała praca nad naprawą silnika. Wreszcie po kilku godzinach, przy pomocy butli tlenu pożyczonych z pobliskiego browaru udało się silnik zapuścić. Na maszcie podniesiono banderę polską i okręt był gotowy do wyruszenia.

Porucznik B.S. był oczywiście "kapitanem". Stanowisko "naczelnego inżyniera" okrętowego powierzono oficerowi technicznemu pułku, który kierował uruchomieniem silnika i w dodatku miał wielką przeszłość żeglarską, gdyż w 1939 r. spędził 28 godzin w łódce, uciekając z Lotwy. Na sternika trzeba było oczywiście fachowca, zaraz też przyjęto usługi chętnego rybaka holenderskiego, który bardzo się do tej wyprawy zapalił — ku zgrozie swej żony.

W chwili, gdy załoga zabrała się do podniesienia kotwicy, artyleria niemiecka otworzyła ogień. Pociski z ciężkich dział zaczęły padać

coraz bliżej i bliżej. Na dobitkę łańcuch kotwiczny zaplątał się i okręt był unieruchomiony.

Gdy już całkiem widoczne, że artyleria niemiecka się wstrzeblała "kapitan" i "naczelnym inżynier" uznali, że trzeba okręt opuścić. Czym prędzej całą załogę ewakuowano na ląd i to ani o minutę za wcześnie. Kilka pocisków trafiło w patrolowca, wzniesając pożar. Jeden wybuchł nawet w komorze amunicyjnej, cudem nie wystrząsał okrętu w powietrze.

### KONIEC ESKAPADY

"Kapitan" wraz z całą "załogą" obserwował bezsilny to dzieło zniszczenia. Po wystrzeleniu stu pocisków Niemcy doszli do wniosku, że groźba inwazji ich brzegu minęła i zaprzestali kanonady. Na pokładzie paliło się, amunicja wybuchła bez przerwy i chmura dymu unosiła się nad okrętem. Mimo to "naczelnym inżynier" podpłynął łódką, aby ratować swoje dokumenty osobiste, które w pośpiechu zostawił na pokładzie.

Kilka wiader wody wylanych na płonący pokład stłumiło pożar który, jak się okazało, podsycał się stopionym masłem, przeciekającym z wielkiej beczki. Zachęcony tym powodzeniem "naczelnym inżynier" zaaplikował jeszcze kilkadziesiąt wiader wody i pożar opadł. Niestety Niemcy znowu otworzyli celny ogień i trzeba było w pośpiechu płynąć na brzeg.

Nazajutrz o siódmej rano załoga wróciła na pokład. Tym razem udało się podnieść kotwicę i patrolowiec, przepływając w odległości zaledwie pół kilometra od brzegu niemieckiego, dotarł do portu Terneuzen, gdzie czeka na naprawę.

Tymczasowi marynarze wrócili do swoich czołgów pełni niezwykłych wrażeń.

KONRAD SYROP



# Przez ciało skrwawionej Normandii

12 kilometrów na południowy zachód od Bayeux jest kompleks leśny 8 x 6 km. Forêt des Biards. W północno-wschodniej części tego lasu zbiega się pięć dróg: z Bayeux, Balleroy, St. Lo, St. Clair i Isigny. W miejscu ich przecięcia się był mały objazd /angielski roundabout/, w środku objazdu była chatka. Można sobie wyobrazić, że takie chatki są w ilustracjach do bajki o wilku i Czerwonym Kapturku. Możemy sobie to wyobrazić tym śmieiej, gdyż nikt i nic nie wyleczy nas ze złudzeń. Z chatki została kupka gruzów, a mały angielski roundabout został poszerzony do średnicy 200 metrów. Las, który podchodził do chałupki, zagłądał w jej okna, odepchnięto do tyłu.

Tu, właśnie na przecięciu się dróg był niemiecki punkt oporu, robiący dużo wstrętu wojskom ziemnym. Sprowadzono lotnictwo. W przeciągu pięciu minut z chatki, lasu dookoła i oporu zostały jedynie słabe ślady. Wojsko poszło naprzód. Potem przyszyły buldozery i załatały wyrwy w drogach. Tabliczki z napisami miejscowości i oddziałów stanęły u szyi każdej drogi. Pośrodku, obok ruin zalegających miejsce, gdzie była chatka, wojskowy żandarm ziewa teraz przy swoim motocyklu.

Drogi zbiegają się jak poprzecznie, przyjmują na swoje ramiona setki samochodów, lecz punkt ich przecięcia się nie leży już w gęstym, czarnym mrokiem podbitym lesie, lecz na szerokim wygolonym majdanie, przez który idzie ulewa słońca i mogą swobodnie bużować wiatry. W przejściu pomiędzy pierścieniem objazdowym a dalekim lasem, wśród olbrzymich kraterów i olbrzymich kretowisk sterczą ogołocone z gałęzi i kory poskręcane pnie drzew. Powbijane w ziemię czubkami, potrzaskane i pocięte, wyrwane z trzewiami korzeni i obrócone nimi ku suzaczemu i palącemu słońcu, nie dają nawet słabego pojęcia o tym, że tu jeszcze niedawno był las.

Po wjechaniu na wschodnie ramie rozgwieżdżony dróg, znajdziemy się za chwilę w Balleroy. Miejsce, na jak Grójec w Polsce, może trochę mniejsza. Gęś paraduje swobodnie środkiem miasta, przebiegająca przez policjanta na rowerze. Z okien zwisają flagi narodowe. Tu i tam rozbite szyby. Tu i tam pocisk armatni wywalił ścianę, rzucając tajemnicę wewnątrz na żer ciekawości przechodniów.

Droga biegnie wzdłuż rzadkich siedzib, otoczona sadami, podawana sobie nawzajem przez kępki leśne. Pnie się lekko i spada. Przeskakuje przez małe, leniwe strumyki. Domy przydrożne często-gęsto rozwalone lub nadwalone od pocisków artylerii. Po bokach drogi rdzewiejące, żelazne gady Tygrysów i Panter "niezwycięzonej armii Hitlera". Z pourywanymi wieżyczkami, rozpuchniętymi od wewnętrznych eksplozji stalowymi bokami, leżą w dołach i rowach obok drogi. Jeszcze tak niedawno były dumą stalowych dywizji S.S., dumą każdego Niemca. Dziś sycą się wodą deszczową, wrastają swoim ciężarem w wilgotną ziemię Normandii, porastają od dołu zielskiem. Gasienice jak szkielety groźnych gadów wiją się drogą, jej skrajem, skręcając się w kłęby, wiążą pomosty nad rowami i przecinają żywopłoty.

Taka droga, bogata w zieloność, w żółcące jabłka i stalowe rupiecie, docieramy do Tilly — do tego, co było Tilly. Tu się toczyły zażarte walki i sama miejscowość przechodziła kilkakrotnie z rąk do rąk. Domy zostały rozbite przez bomby i pociski w gruzy, gruz w szuter, szuter w piasek i pył. Ponieważ w środku Tilly zbiegały się cztery drogi ze wszystkich części świata, wszystkie ważne dla transportu wojskowych, buldozery zasypały jamy, zniwelowały nasypania i oddały szeroki, ubity plac pod koła samochodów. Całe Tilly dzisiaj jest do warstwa 2 — 3 metrów piaskowca zmieszanego z wypaloną gliną, z wapnem, popiołem, ciałami pogrzebanych ludzi, po której to warstwie przelewają się niezliczone samochody, po której właśnie my jedziemy także. Wzrok leci po duży, otwartym na wszystkie strony klepisku, na którego krańcach sterczy kilka rumowisk nie wdęptanych w ziemię. Mąci się w głowie. Jest to rzeczywistość z rządu tych rzeczywistości, które wywołują silniejsze niedowierzanie niż najszańsza fantazja.

Towarzysz jadący ze mną stara się złagodzić mój szok: — Widziałem lepsze rzeczy — powiada — Było to w St. Lo. Wygląda zupełnie jak to Tilly, wrazenie jest jednak o tyle większe, o ile St. Lo było większe od Tilly. Na tym ogromnym placu, który powstał nad dachami byłego miasta jest obecnie park dla samochodów. Było tam również jezioro. Domy powpadały w wodę i to właśnie jest najmniej zniszczone. Gdy woda się nie marszczy, widać przez nią wyraźnie niektóre klatki pokoi.

W przejeździe mijają się po prawej lotnisko Le Capriquet. Był zbiór wierszy Małaczewskiego "Pod niebieską strzechą". Można to zastosować do wszystkich hangarów na lotnisku. Jeżeli nie popadane, to świecą na wylot, na przestrzał. Tu także szły walki. Miejscowość Le Capriquet zniszczona bardzo. Droga biegnie pomiędzy wysokimi murywanymi płotami. Pełno w nich dziur od pocisków.

Dalej równa, prosta aleja drzew towarzyszy drodze aż do Caen. Po bokach, na polach doły strzeleckie /fox holes/, druty kolczaste, kraterzy od pocisków, rozrzucone opakowanie z żywności i amunicji. Drzewa pokancerowane od odtamków i kul. Słupy linii wysokiego napięcia idące przez pola — duże, metalowe rusztowania — powysadzane z fundamentów, lub poniszczone ogniem artylerii stoją, półleżąc, leżą poskręcane i pocięte. Zboża wysokie i gęste płyną jak jezioro na prawo i lewo od drogi. Marneje krzypki i bujny urodzaj. Szyły wtedy czołgi zostawiając długie, proste smugi i smugi te są liczne, lecz pola zbóż są ogromne z dalekim horyzontem i trakty czołgów są w nim jak garść cienkiej przędzy rozpostarta na dużej łące.

Półtora miesiąca temu był czas żniw. Lecz właśnie wtedy szły tu żniwa inne. Ogromne, nieobjęte wzrokiem lany zbóż zostały same sobie. Widoczny brak ludzi. Część poginęła, część wyemigrowała na wschód, ci co są, boją się min rozrzuconych w polach. Najprawdopodobniej są one bardzo rzadkie; być może jedna mina wypada na 5 lub 10 kilometrów kwadratowych, lecz przecież przypada.

Tuż przy drodze minie się niekiedy świeże groby. Mały krzyż zbity z desek od skrzyń zawierających puszki z konserwami, lub amunicję, na krzyżu hełm poległego — to wszystko. Czasem tabliczka z napisem.

Tą drogą pokaleczonych drzew, grobów i rdzewiejącego żelastwa dociera się do Caen. Przy wejściu duży napis ostrzeża o istnieniu "booby traps". Przedmieście stoi pokaleczone i podrujnowane, lecz ulice są ulicami a domy domami. Blżej centrum miasta różnice te zaczynają się zacierać. Przychodzą gruzy, rumowiska, ca-

łe góry śmieci; nikt już nie rozpoznaje co było ulicą a co domem. Widziałem po "blitzu" Coventry, Liverpool, Birmingham, Plymouth, Exeter, widziałem najgorsze miejsce w Londynie, ale zniszczeń w stylu Caen jeszcze nie widziałem. W Anglii domy budowane z cegiel zostawiają jakieś resztki murów. Wybuchy bomb kraja tam kamienie jak nożem. Tu domy są przeważnie z piaskowca. Wybuch rozsypuje kamień z powrotem w piasek. Następne wybuchy mieszają wszystko dokładnie. W Anglii można cegłę po cegle usunąć całe rumowisko — tu rumowisko stało się jedną, zwartą, stłoczoną masą, wzmocnioną jak żelbeton wewnętrznym szkieletem desek, rur i innego żelastwa. Deszcze zwały rumowiska obficie. Masa osiadła, zbiła się jak zakalec. Najprościej będzie, zamiast usuwać to wszystko, zniwelować jak w Tilly lub St. Lo i pobudować na tym nowe miasto. Za lat parę tysięcy odkopią może te nowoczesne Pompeji, by szukać wśród nich śladów naszej cywilizacji. A ziemia prawdopodobnie przechowa te ślady lepiej i prawdziwiej niż muzea, poddane wojnom i kierunkom warstw rządzących.

Centrum Caen i dzielnica portowa nie istnieją. Zostały starte z powierzchni ziemi. Gruzy odgarnięto z głównych ulic na bok, spiętrzone je; cały ruch odbywa się wązowami wśród spiętrzeń. W dzielnicy portowej były jednak wielopiętrowe nowoczesne gmachy z betonu i stali, a te nie rozspływają się w piasek. Dolne kondygnacje osłabione przez eksplozję i wstrząsy ziemi, nadkruszone, nie wytrzymują ciężaru całej masy, Gmach zrywa więzania, skręca się i wali na ziemię, miążdząc wszystko dookoła. Popękane płaszczyzny betonu okrywają ogromnymi szarymi płatami sześciany, które się oparły siłę miążdżenia. Żelazne pręty sterczą z nich wachlarzowatymi grzebieniami.

Gdzieniedzie, zwłaszcza na południowym przedmieściu ocalały sklepy. Ogony przed piekarniami. Brak zupełny psów i kotów. Na ocalałych murach ogłoszenia "Bekanntmachung" — niemieckie, "Victoire" — Sojuszników, "Terrorisme Stalinien" — niemieckie, "Europe reveille toi" — niewiadomo czyje.

Przejeżdżamy rzekę po moście zbudowanym przez saperów /Churchill bridge/. Wąską szycją pomiędzy rumowiskami wydostajemy się na otwarty wyraz, drogą do Falaise. Cała przetrzeń po horyzont, to pole niedawnej walki. Znowu groby przy drodze. Nie było czasu na stawianie krzyży. Karabin poległego, wbity lułą w ziemię przy grobie, zastępuje krzyż. Znowu rozbite czołgi i samochody. Poniszczone działa. Jedno z lułą odciętą jak nożem nad

ogromnym kraterem — to skutek bomby. Inne rozerwane od wewnątrz, prawdopodobnie nau-myślnie przy cofaniu się. Stał od połowy działa do wylotu pocięta w pozaginane na zewnątrz pasy. Wygląda to jak olbrzymi, niesamowity kwiat o czarnych płatkach. Ziemiarki i fox holes. Napisy: "Verges checked to 20 feet." Znaczenie tego brzmi: "Załatwiał wszystkie swoje sprawy w odległości 20 stóp od drogi. Jeżeli ten zakaz przekroczysz, wrócisz, albo nie wrócisz". Niekiedy czarne tabliczki z trupią główką i napisem: "mines" podkreślają bardziej dobitnie to samo. Na jakimś słupie telegraficznym duża tabliczka: "Road home via Berlin." Wysokie dwukółowe wozy z budami ciągną naprzeciwko ze wschodu. Uchodzą wracając.

Przydrożny las, to znaczy to, co było lasem, przypomina filmy z pierwszej wojny światowej z frontu zachodniego. Gole, szpiczaste patyki, sterczące wśród księżycowego krajobrazu — to był las. Jeżeli powtykać zapalki główek do piasku i porozszczepiać ich końce w drzazgi, wrazenie będzie to samo. Zastanawiam się chwilę, czy rzeczywiście to samo. Zapalki są jasne i to jest cała różnica. Jeżeli okopci się zapalki, na pewno żaden szczegół nie zaprzeczy podobieństwu.

Jedziemy wolno, bo drogą płyną w obie strony dwa sznury pojazdów. Są tu jeepy, motocykle, lekkie samochody ciężarowe, ciężkie i najcięższe. Jadą czołgi na ogromnych dwudziesto-czterokółowych lorach. Z frontu w dużych zamkniętych pudłach "Salvage Units" — sprzęt wielorazowego użytku: łuski, opakowania, spadochrony, sprzęt zdobywczy. Droga jest wąska i wymijając można tylko wtedy, gdy nie jedzie z przodu. Ale z przodu stale jadą. Więc wlecemy się zakurzeni i mokrzy od potu. Wiatr zasnął i żar leje się strugami z nieba.

W kamieniołomie na prawo była wyrzutnia latających bomb. Niestety nie ma czasu na zwiedzenie, a gdyby był, to nie ma zjazdu w bok. Musimy płynąć w tym strumieniu pojazdów z jego rytmem. Wszystko, co wypada z rytmu staje się zatorem, a zator wywala się w bok do rowu. Tak więc leżą w rowie zupełnie dobrze wyglądające samochody osobowe. Służą jako zapas części wymiennych i uzupełnień dla wszystkich co jadą drogą.

Falaise. Drugie wydanie Caen, jeszcze gorsze, jeszcze tragiczniejsze, bo świeższe. Tam już ludzie grzebią się potrochu w ruinach, ruch kipi wązowami i już na śladach, na ciele umarłego miasta zaczyna kiełkować nowo rozbudzone życie. Jak sam widok miasta straszy, a życie w jego rozpadlinach wywołuje wstrząs

politowania, to jednak właśnie to życie, ta ogromna siła, która obumarłszy chwilowo, wraca szybkim napływem fali, oblepiając ludźmi strzaskane głowy, proch i pył jak pleśnią — ta siła wywołuje uczucie wiary, która nie góruje wprawdzie nad smutkiem, ale go łagodzi.

Tu w Falaise zniszczenia są niedawne i mieszkańców jeszcze nie ma. Ogromne zwałiska gruzów przypominają skalne turnie, poszarpane od wichrów, skalne złęby z głazami, które się pożywały ze szczytów. Tu rozbito miasto, ale go jeszcze nie przemielono na proch.

Droga szuka nieśmiało przelotu pomiędzy zwałiskami. Jest wąska i przepływa jest tylko jednokierunkowy, raz w tę, raz w tamtą. Na skrzyżowaniu stoi żandarm zwany: "Member of Parliament" /od liter M.P. na helmie "Military Police" / albo "Snowdrop" — pierwszeństwo od białych getrów, pasa i rękawiczek/. Dziś na żandarmie nie widać białych getrów i rękawiczek, bo cały jest biały od wapiennego kurzu. W miejscach tylko gdzie spływa pot po twarzy formują się się ciemne strumyki.

Stoimy długo czekając na naszą kolej. Turnie szczerzą pokaleczone zręby rzucając ostre, fantastyczne cienie. Niektóre ściany są tak nawisłe, że cudem tylko zdają się trzymać pionowo. Jakis czas słyszało się szum silników samochodowych w wąskiej szyi ruin, lecz szoferzy znużeni czekaniem wylądowali silniki. Czekamy teraz w ciszy. Jest to naprawdę ogromna, ciężka cisza. Nic się nie dzieje, nikogo nie ma, nikt nie idzie, nikt się o nic nie troszczy. Doskonała pustka. Tylko słońce oblepia to swoim żarem i wbiła żądło gorąca w szkielety murów.

Odetchnąłem, gdy ruszyliśmy i popeliliśmy znowu naprzód. Nigdzie tak silnie, jak tu w Falaise nie odniosłem wrażenia, że z dwojga smutnych rzeczy: śmierci i pustki, pustka jest rzeczą straszniejszą.

Znowu pola. Pola z niezebrany zwozem i pola minowe. Z krzyżami ubranymi w helmy i z karabinami przy grobach zastępującymi krzyże. W jednym miejscu tuż przy drodze, odgrodzona od niej kolczastymi drutami góra spiętrzonych min. Leżą — grube, okrągłe dyski jedne na drugich niewiadomo czy już wykryte i wykopane z ziemi, czy jeszcze w nią nie założone z powodu braku czasu. Wzdłuż drogi, w równych odstępach po obu stronach są ustawione beczki z materiałem do zadymiania.

Prawie zawsze tam, gdzie droga zbiega się z rzeczką, jest coś z Czerwonego Kryża. Wszystko w namiotach. Przez podniesione dla przewiewu boczne ściany widzi się leżących rannych. Inni w błękitnych luźnych ubraniach wychodzą poza obręb szpitala; widać ich spacerujących z "made-moiselles" i próbujących przezwyciężyć na migi swych zdolności uwodzieleńskich.

W jakimś miejscu leżą na łące resztki rozbitego samolotu. Musiał wbić się w ziemię jak meteor na ogromnej szybkości, bo szczątki są drobne i rozsypane na dużej przestrzeni. W miejscu gdzie nastąpiło zetknięcie się z ziemią, mały krater i plama. Po olbrzymich zniszczeniach, od których oko przywykło, obraz ten swoją małością i znikomością nie wywołuje żadnych wrażeń, najwyższej właśnie myśl o małości i znikomości.

Tuż obok w zacisznej gospodzie, okoliczni stateczni obywatele i ich małżonki świętują wódną przy kieliszku Calvadosa lub cidru. Na ścianie gospody wiszą ciężkie kiści winogron w cieniu "tricolore" i bezwietrzne popołudnie nie usposabia do ruchu.

Poza tym jest niedziela. Policzki mężczyźni śmieją się czerwienią buraka. A zaraz za gospodą, w rowie siedzi kobieta z kobiałką i karmi piersią dziecko. Co odpowie, jeżeli ją zapytać gdzie jej dom, mąż i rodzina? Nie wygląda, by wyszła z domu naprzeciwko. Ma zmęczone oczy i zapadnięte policzki. Wydaje się, że ma za sobą i przed sobą tylko drogę.

## Jeden z wielu

Spotkałem go w Londynie przypadkowo, rok temu mniej więcej. Gdy mi go przedstawił, jako żołnierza dopiero co przybyłego ze Szwajcarii, okazało się, że mieliśmy wspólnych kolegów i znajomych.

Przybycie z kraju neutralnego w czas wojny wzbudza ogólne zainteresowanie. Niejeden z kolegów uciekł z niewoli, czy to z okupowanej części Europy. Opowiadał o ucieczce zwykle nacechowane są romantycznością. Konspiracja, tajemnicza ucieczka, niebezpieczna podróż, ciągła trwoga i nareszcie cel!

Droga ze Szwajcarii, poprzez okupowaną Francję, aż do Wielkiej Brytanii — musiała chyba być związana z niezliczonymi trudnościami. Na wszystkie moje pytania, Michał Goldin odpowiadał krótko i skromnie: Byłem interviewany po upadku Francji. W Szwajcarii życie przechodziło mi na tęsknotę. Nawet studia nie mogły jej zagłuszyć.

Tęsknota, za czym? Za czym! To też poprosiłem o pomoc, by móc dostać się do Anglii.

Ale jak Pan przyjechał? jakim sposobem? Otrzymałem wskazówki jak się przedostać do części nieokupowanej, a stamtąd to już bardzo proste. Gdy przybyłem, zaciągnięto

mnie do piechoty. Pomimo próśb i raportów, do lotnictwa go nie puszczono. Po kilku miesiącach dostalem list ze Szkocji. Michał uzalał się na nudy. "Cóż tu po mnie? Przyjechałem umierać, a wyleguję się na plaży".

Nareszcie został wyznaczony, lecz nie do lotnictwa, ale na uniwersytet w St. Andrews. Znowu pojawiał się listy jego kochane, dziwne, czyste. Uważał, że nie ma prawa do nauki, bo przyjechał walczyć, a nie studiować.

Perswadowałem mu, że każdy żołnierz, wstępując do Armii, tym samym składa swe życie w ofierze, że posłuszeństwo jest największą cnotą żołnierską. Radziłem, żeby się uczył spokojnie, bo jego wiedza przyda się w Polsce Odrodzonej. Jakoż studia ukończył z odznaczeniem.

Nie spotkałem go, gdy odjeżdżał. Otrzymałem jedynie kartkę drukowaną z adresem: P /39 Polish Forces, British Liberation Army. Nastąpiła dłuższa cisza. Na list mój nie miałem odpowiedzi. Aż tu nagle w "Dzienniku Polskim" przeczytałem nekrolog, przesłany przez kolegów z St. Andrews:

B.P.

Kapral Michał Goldin zginął 19.8.44 w Normandii.

To było wszystko. W kilka dni

później otrzymałem list od Szko-tów. Pisali:

"... Jak to widać ze wzmianki w piśmie z St. Andrews, Michał Goldin zginął! Poszedł na ochotnika przywieść rannych po bitwie koło Falaise... Może Pan o tym wszystkim wie! Tacy jesteśmy smutni, że tyle młodych istnień ginie z poświęcenia. Mielśmy wielu przyjaciół wśród tych młodych ludzi, wielu bardzo drogiego przyjaciół. Myślimy ze smutkiem o ich rodzinach, o tym wszystkim, co zdołaliby zrobić w tym życiu, gdyby przetrwali tę wojnę! Nie wiem czy pisaliśmy już, że był u nas na herbatce po otrzymaniu stopnia M.A. na uniwersytecie. Widzieliśmy go raz jeszcze, po raz ostatni, gdy przyszedł nas pożegnać przed wyjazdem do Francji.

Był to niezwykle chłopak. Cichy i tak dobrze wychowany, a jak skromny jeśli szło o własne wyczyny. Jest to zupełnie do niego podobne: pójść, by przywieść rannych kolegów i zginąć dla zbawienia innych! Zostawił pamiętnik i prosił, żeby go spalić, gdyby nie wrócił. Spełnimy więc jego wolę i zniszczymy ten dokument, choć jest to tak smutne palić jego pismo!"

To wszystko. Nie pozostawił po sobie nic, prócz wdzięczności w sercach swych przyjaciół. Wdzięczności, że tak młodo chciał oddać, co miał najdroższego: życie swoje dla Ojczyzny.

Cześć jego pamięci!

MAREK SZWARC

STEFAN ŁASZKIEWICZ



# Polscy spadochroniarze w Holandii

## I. Przed ostatnim startem \*



Przed odlotem

Nareszcie akcja!

Kiedy odwołany z Londynu na całym telefonem, przybyłem do bazy polskiej Brygady Spadochronowej, zastałem tam atmosferę radosnego podniecenia i gorączkę ostatnich przygotowań. Było to jeszcze w sierpniu br. Można sobie łatwo wyobrazić jak bardzo nam wszystkim, a szczególnie korespondentem wojennym zapachniała Francja. Ostatni *kit-bag* spadochroniarza był zapakowany, zasobniki podwieszono pod samolotami, szybowce załadowane.

Niestety Amerykanie wydarli nam zwycięstwo. Niemcy za szybko uciekli. Nie mieliśmy już tam nic do roboty. Jak niepyszny wróciłem do Londynu.

Na początku września znów telefon wezwał mnie na łeb na szyję. Znowu zastałem w bazie ruch i podniecenie. Tym razem oficer-płтник wymieniał okupacyjne franki francuskie na również okupacyjne franki belgijskie i guldeny holenderskie. Oficerowie otrzymali nawet po trochę marek niemieckich. Dla odmiany uśmiechnęła się do nas Bruksela i zapachniała holenderskim serem. Lecz znów jak niepyszny wróciłem do Londynu.

Później było jeszcze parę innych podnieceń i półalarmów, ale to już do mnie nie dotarło, nawet trochę zaczęto już wątpić w możliwość spadochronowej roboty.

Łatwo teraz o tym wspominać jak o czymś zabawnym, teraz, po krwawej spadochronowej robotce — ale wtenczas nie przeżywało się tego tak łatwo. Każde zadanie spadochronowe wymaga bowiem ogromu pracy wkładanej w przygotowania i napięcia nerwów, które towarzyszy wszystkim poczynaniom w tych dniach przed akcją. Broń spadochronowa wtenczas daje odpowiedni rezultat, kiedy wszystko, dosłownie wszystko zostało przedtem pomyślane, przewidziane i przygotowane. Każde działanie wojsk powietrznych musi być misterną, precyzyjną grą przeróżnych czynników, z których wiele jest bardzo zmiennych i od człowieka niezależnych. Warunki atmosferyczne, sytuacja ogólna na froncie, a czasem mały szczegół może decydować o wszystkim. Niech na przykład na przewidzianym lądowisku znajdzie się raptem nieprzewidziana bateria artylerii przeciwlotniczej, albo większy oddział z bronią maszynową, a to, co miało dać wspaniałe zwycięstwo, przerodzi się w rzeź własnych oddziałów. Spadochroniarz o tym wie doskonale i niezależnie od tego czy to Paryż, czy Bruksela — mimowoli wciąż wraca myślą do pogody, myśliwców i flaku niemieckiego, do oddziałów wroga, które mogą na niego czekać i samego skoku ze spadochronem.

Aż nareszcie powiedziano mi, że tym razem na pewno. I rzeczywiście wszystko wskazywało, że teraz już nie nas nie odwoła. 17-go września wielka armada samolotów transportowych "Dakota"

\* Jest to pierwszy z artykułów o akcji naszej Brygady Spadochronowej w Holandii, napisanych specjalnie dla "Polski Walczącej".

przeprowadziła w kilku punktach desanty wojsk spadochronowych w Holandii. Polska Brygada Spadochronowa miała w następnej fazie wyskoczyć pod Arnhem i od południa zaatakować przyczółki mostowe na dolnym Renie. Nasz rzut szybowcowy poleciał już z Brytyjczykami. Nie mogło być odwołania.

Odetchnęliśmy więc z ulgą. Nareszcie się spełni. Trudny to był moment psychiczny dla polskiego żołnierza spadochronowego. Brygada przygotowywała się do akcji od trzech lat. Celem jej i marzeniem był skok w Polsce, zrzucając pięta niewoli. Chwila ta nadeszła, ale droga do Polski była zamknięta. To bolało. Jednakże po tak długich przygotowaniach trzeba było jakoś wyjść z sensem z tej imprezy, tym bardziej, że pozostało wiele miejsc, gdzie była jeszcze okazja walczyć z odwiecznym wrogiem. Jeżeli nie można w Polsce, to już wszystko jedno gdzie. W Holandii jeszcze nas nie było.

Tymczasem prasa brytyjska zrobiła psikus i ogłosiła, że już Brygada walczy we Francji. Nazwano przy tej okazji polskich spadochroniarzy "the silken killers", co strasznie ich zrytowało, bo tymczasem siedzieli sobie najspokojniej w Anglii chodząc do barów i na dancingi. Teraz już nie możemy pokazać się w Szkocji — powiadali żołnierze — bo tam nas nasi przyjaciele szkoccy oplakują, a my tutaj odstawiamy "lipę". Ale teraz to już nie "lipa" — każdy mruknął do siebie, sprawdzając swoją broń i oporzadzenie w przeddzień wyjazdu na lotnisko.

19-go września obudził nas mglisty poranek. Sympatyczne miasteczko angielskie, w którym tak dobrze się żyło — stało się nagle czymś nierealnym i rozplywającym się we mgłę. To już należało do przeszłości — jak wiele innych rzeczy i spraw na drodze naszego żołnierza. Rzeczywistością był szereg samochodów i droga, kończąca się skokiem bojowym. Lecz co to jest skok bojowy — tego nikt jeszcze z tych żołnierzy nie wiedział. W samochodach wesoło, ale wesołość ta nie jest beztraska.

Duże zmartwienie powoduje niepewna pogoda. Mgła włoży się po polach, może jednak opadnie. Ktoś tam widzi nawet przejaśniające się niebo. Ogólnie panuje jednak przekonanie, że teraz, kiedy od naszego przybycia na czas zależy rozwój akcji zgodnie z planem, odwołanie nie nastąpi, a ta "nieprzychylna" mgła utrudni tylko przelot. Ja osobiście martwię się dodatkowo o zawartość mego *kit-bagu*. Jako korespondent wojenny — skoczek spadochronowy z prawdziwego zdarzenia, oczywiście mam ze sobą maszynę do pisania, która jest w tym *kit-bagu*. Właśnie jej los mnie niepokoi.

*Kit-bag* jest mocnym workiem, do którego spadochroniarz wkłada swoje bagaże: broń, amunicję, oporzadzenie i który następnie przypina sobie przed skokiem do nogi. Specjalne urządzenie umożliwia odczepienie worka od nogi w czasie skoku jednym pociągnięciem taśmy. *Kit-bag* opada na długość linki, która jest przywiązany do szelek spadochronu i szybuje w dół

razem ze skoczkiem. Oczywiście ląduje pierwszy, za nim w niewielkiej odległości skoczek. Jest to bardzo proste i wygodne, ale jak wszystko na świecie — potrafi spleść przykrego figla. Podczas ostatniego, ćwiczebnego skoku miałem rzecz w *kit-bagu* mego towarzysza-sasiada w samolocie. Po wylądowaniu stwierdziliśmy smętnie, że *kit-bag* się urwał. Lepiej było potem do niego nie zaglądać: pistolet maszynowy miał lufę w kształcie łuku, biscuits w chlebaku starły się na mąkę, a menażka była pomięta jak arkusz papieru. Jeżeli to samo stanie się z maszyną do pisania... Wierzę jednak, że nic się nie stanie i wydaje mi się, że niebo w jednym miejscu też się przejaśni.

Na lotnisku kilkadziesiąt "Dakot" ustawiło się szpalerem wzdłuż *runway'u*, na którym ruch jak na Piccadilly: auta ciężarowe, limuzyny, *jeepy*, ciągniki — jeżdżą tam i z powrotem. Nawet kantyny przyjechały i można kupić czekoladę. To już na pewno polecimy.

"Dakota", w której mam lecieć, posiada Nr. 110 i jest najpiękniejszą z "Dakot". Oczywiście numer też jest najszcześliwszy i można powiedzieć na pewniaka, że nic złego nam się nie może stać. Tak myśli o swym samolocie i numerze na nim każdy spadochroniarz przed skokiem. Ale moja "Dakota" ma ponadto coś więcej: długi szereg namalowanych na kadłubie obrazków: spadochroniarzy na spadochronie, czerwonych krzyżów, objuczonych wielbłądów i... osłów.

Pilot, Amerykanin, objaśnia mnie co oznaczają te symbole. Każdy z nich to bojowy lot — ten "ship" miał ich dotychczas 26. Spadochroniarze oznaczają rzuty ludzi, czerwone krzyże — transport rannych, zwierzęta — zrzuć zaopatrzenia: wielbłądy — w Afryce, osły — na Sycylii. Jeden z moich towarzyszy radzi Amerykaninowi, aby po 27-ym locie operacyjnym domalował na "Dakocie" zamiast nowego spadochroniarza... 14 osłów. Bo nas jest właśnie czterastu.

Tylko cztery "Dakoty" na tym lotnisku są równie zasłużone, więc wierzymy w nasz samolot. Zresztą wszystkie są wspaniałe i można śmiało powiedzieć, że spadochroniarze kochają się w "Dakotach". Prawdopodobnie dlatego, że liczą na wzajemność, a od tej wzajemności zależy ich życie. Poza tym "Dakota" posiada szereg wspaniałych zalet, których brakowało bombowcom przystosowanym do zrzuć spadochroniarzy. Z tych ostatnich skakało się przez dziurę w podłodze, co było trudne i mniej bezpieczne. "Dakota" posiada do tego celu drzwi, z których żołnierz po sygnałach świetlnych "action station" i "go", sam nie wie kiedy "wysiada". "Dakota" jest wewnątrz jasna i wygodna jak autobus. Amerykańscy piloci też kochają te swoje "shipy" i nadają im różne nazwy, z których większość jest wspomnieniem jakichś romantycznych przeżyć. Czytam więc na "Dakotach": "Marguerite", "Mary", "Sweater girl", a pod napisem "Miss Chapely" wymalowano leżącą dziewczynę w stroju Ewy z okresu jej niewinności.

Dużo też jest humoru wśród tych nazw i malowideł. W samolocie "Strange cargo" mają lecieć akurat nasi pułkownicy, a jeden z oficerów o nazwisku Zajac, ku ogólnej wesołości zobaczył na swoim samolocie ni mniej ni więcej tylko napis "The Wilde Hare". Jak się później okazało, ten samolot był naprawdę "dziki": zgubił się w chmurach, zapędził się nad jakiś niemiecki flak, został postrzelony i musiał przymusowo wyrzucić spadochroniarzy — na szczęście na terytorium zajęte przez wojska alianckie.

W południe niebo się przetarło. Sierżant R.A.F. jadąc na motocyklu wzdłuż szpaleru samolotów zaczął nawoływać do nakładania spadochronów i wsiadania do samolotów. Zrobił się ruch przy "Dakotach" i ogarnął nas nastrój poważny. Teraz już na pewno.

—Obawiam się, że tym razem nie odwołają — próbował jeszcze żartować jeden z naszych spadochroniarzy. Ale nikt nie podejmuje żartów. Wszyscy są zajęci przesuwaniem taśm, do których przypina się "taśmę życia" spadochronu, ustawianiem *kit-bagów*, poprawianiem pozycji rowerów, które nasz "stickman" czyli dowódca grupy spadochroniarzy w samolocie wyrzuci przez drzwi, zanim sam wyskoczy, a my pójdziemy za nim — jak owce.

Jest nas — jak wspomniałem *à propos* osłów — czterastu spadochroniarzy w tym samolocie. Strasznie mieszane towarzystwo. Zandarmów jest trzech i są mocno reprezentowani, bo jeden z nich jest naszym "stickmanem" — plutonowy M. — doskonałym "stickmanem" z głową, odwagą i pogodą na twarzy. Zazwyczaj "stickmanem" bywa oficer, ale naszym jedynym oficerem jest kapelan — wolno mu więc nie znać się na sprawach spadochronowych, ale jak każdy żołnierz Brygady — jest odważnym, rutynowanym skoczkiem. Naprzeciw mnie siedzi komiczny chłopak, sympatyczny dla wszystkich, bo jest kucharzem. Tamtych paru — to podoficerowie administracyjni. I wreszcie kilku z łączności. Do nich właśnie należą podwieszane pod kadłubem naszej "Dakoty" dwa zasobniki z drogocennym sprzętem radiowym.

Amerykańska załoga uśmiecha się do nas i zapytuje, czy "O.K." Pilot puszcza w ruch motory, samolot zaczyna drgać. Radiotelegrafista nakłada słuchawki na uszy. *Push-man* czyli "wykidajło" wciąga zewnętrzne schodki. Nastrój jeszcze bardziej uroczysty.

Radiotelegrafista odkłada słuchawki i wstaje. Po chwili pilot wychodzi — wykrzywia się do nas — nie wiem, czy to jest uśmiech, czy złość. I już wszystko miemy.

—Z powodu złej pogody start odłożony na 24 godziny...

Psiakrew!... Wróciliśmy do bazy w "nijkim" nastroju, t.zn. z ukrytą złością i niesmakiem do całego świata. Zamiast gdzieś tam w Holandii lądować na zrutowisku wrogich niespodzianek, poszedłem... do kina, na film "Bedtime story". Łatwo powiedzieć — ale ile to wszystko kosztowało nerwów uświadomiłem sobie dopiero, gdy sasiad trzącił mnie, abym nie chrapał, bo ludzie oglądają się i śmieją.

Na drugi dzień rozpoczęliśmy wszystko od początku. Załadowanie do samochodów, przejazd przez angielskie wsie i miasteczka. Ci sami ich mieszkańcy serdecznie kiwają nam rękami na pożegnanie. To samo lotnisko i samoloty. Ta sama niepewna pogoda. I odkładanie startu z godziny na godzinę. I żarty, zmieniające się w powagę. Nakładanie spadochronów i *life-beltów* /pasów bezpieczeństwa/. Zajmowanie miejsc w samolocie.

Tylko że silniki zagrały zdecydowanie i "Dakoty" zaczęły pełzną ku *runway'owi*. Teraz już na pewno polecimy!

W tym momencie radiotelegrafista zdejmuje z uszu słuchawki:

—Start odłożono na 24 godziny!...

Siedzimy przez chwilę jak ogluszeni. Potem każdy coś mówi podnieconym głosem. Potem znów zapada milczenie — nikt nie rusza się ze swego miejsca. Piloci przechodzą przez kabinę nie patrząc na nas. Apatycznie zaczynamy wstać i zabierać swoje *kit-bagi*.

Każdy niedoszły do skutku lot na zadanie bojowe jest obryzkiem wysiłkiem nerwowym tak poszczególnego żołnierza, jak i całości oddziału, który, zapięty na ostatni guzik przed startem, musi znów przestawiać się na życie w garnizonie. Żołnierze, wymieniwszy pieniądze na zagraniczne, zostają bez grosza. Kuchnie zlikwidowane i spakowane — znów muszą rozpocząć pracę i to natychmiast. Bielizna się brudzi i nie wiadomo, czy jest czas oddać ją do prania.

To ciągłe pogotowie, zakaz opuszczania kwatery, prowizorka — wszystko to zaczyna ciążyć i męcząc niesłychanie. Radosne podniecenie przed pierwszym alarmem stopniowo przeraża się w udrękę.

Trzeba mieć w sobie dużo pogody i samozaparcia, by z uśmiechem to przetrzymać. Tym bardziej, że tam, w dalekiej Holandii, walczą już nasi brytyjscy sprzymierzeńcy, a u ich boku koledzy z rzutu szybowcowego, który już zdążył tam wylądować. Nie bez strat — jak wieści dochodzą.

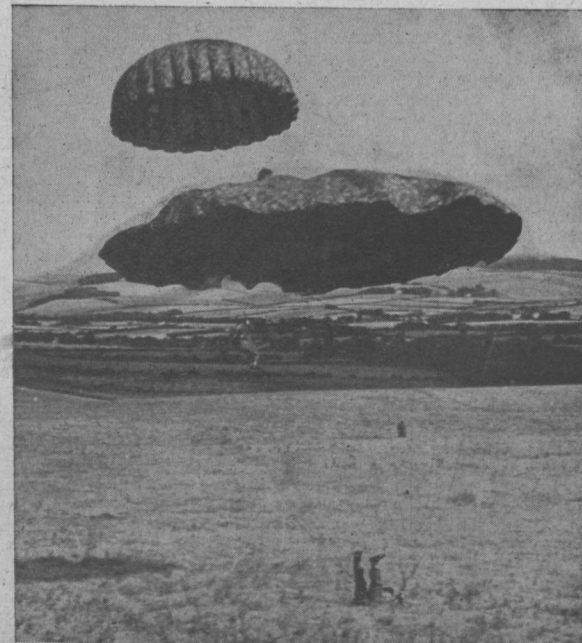
Obecność Brygady na tamtym polu walki jest już koniecznością, a pogoda wciąż beznadziejna. Wreszcie to wahania fantastyczne nastrojów: od humoru do powagi, od napięcia nerwów i kompletnego przygotowania przed startem — do rozczarowania i stoczenia się na dno podejrzeń, że to wszystko "lipa". Wszystko to trzeba przetrzymać. Jeszcze przed akcją, chociaż to jest niezmyślnym wobec niej.

To wszystko przeżywałem z żołnierzami Brygady Spadochronowej w ostatnich tygodniach przed jej odlotem na pierwszy w dziejach wojen polskich bój spadochronowy.

Na trzeci dzień — był to już czwartek 21 września — znowu w jesiennej mgłę przesunęły się kołomy samochodów przez wsie i miasteczka angielskie w drodze na lotnisko. I znowu miejscowa ludność machała rękami na pożegnanie: *God bless you!* /Niech was Bóg błogosławi!.

Tym razem samochody wracały do bazy bez żołnierzy Brygady Spadochronowej. A po chwili całe niebo wypełniło się potężnym ganiem setek maszyn. Idealne, jak na paradzie, trójki "Dakot" popłynęły w kierunku na morze.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI





# Sprawy polskie w książkach angielskich

## O ODWADZE POLAKÓW

W książce Roberta Henreya *The Incredible City*,\* która daje barwny obraz Londynu czasu wojny, znajdujemy — podobnie jak w wydanej przed dwu laty tegoż autora *A Village in Piccadilly* /o Shepherd's Market/ — liczne wzmianki o Polakach i Polkach, z którymi autor się zetknął, których widział i słyszał lub obserwował.

Z okazji tragicznej śmierci gen. Sikorskiego Henrey cytuje opowiadanie pewnej Bretonki, która — pełna "podziwu dla tej dzielnej rasy" — spotykała się z Polakami w czasie swego pobytu w Madrycie. "Wielu z nich miało już za sobą straszliwe przeżycia, ale natychmiast po przybyciu robili wszystko, by jechać dalej, a gdy informowano ich, że mają czekać kilka dni na bezpieczną podróż, rzucali okiem na mapę i tego samego dnia wyruszyli na piechotę do Lizbony".

Znana jest bajka o Tomciu Paluchu, porzuconym przez rodziców w lesie i znaczącym sobie powrotną drogę przy pomocy kamyczka czy okrzesany chleba. Pewna młoda Polka odbywała podróż z Madrytu do Lizbony w towarzystwie kilku rodaków. Gdy trzeba było zorientować się w położeniu, zostawiała towarzyszy ukrytych w lesie, sama zaś udawała się do pobliskiego miasteczka. Wiązanki kwiatów, porozrzucane na ścieżkach i przywiązywane do gałęzi drzew, wskazywały jej potem drogę do kryjówki.

"Są ludzie, którzy mówią o tej pogardzie dla niebezpieczeństwa jako o nowym rysie w charakterze Polaków". Ale nie jest to prawda — zaznacza Henrey, przypominając fragment z pamiętników księżnej d'Abantès, poświęcony wędrowce 18-letniego oficera nazwiskiem Leckinski /Leszczyński?/ z Madrytu do Lizbony. Przebrał się on za Rosjanina, ale wojska gen. Castanos schwytały go na trzeci dzień. Poznał go pewien chłop, który dostarczał furazę do Madrytu dla armii francuskiej i któremu właśnie Leszczyński wydał pokwitowanie. Jeńca poddano tygodniowym torturom, zastawiano najprzemysłniejsze pułapki — "niewiarogodna sang-froid /zimna krew/" ocalała Polka. W końcu uwięziono jego zeznaniem i pozwolono na dalszą wędrowkę do Lizbony.

## PIES, KTÓRY UMIAŁ PO POLSKU

W zbiorze dwunastu opowiadań Ward-Jacksona\* z życia Królewskich Sił Powietrznych jedno nosi tytuł: *The Dog Who Speaks Polish*. Jest to wzruszająca historia o psie Miszce, adoptowanym przez polski dywizjon lotniczy. Włożona jest w usta sierżanta, który przez pewien czas przebywał na kursie w Uxbridge, gdzie ów dywizjon stacjonował.

"Straszliwe" trzaskanie obcasami i "śmieszny" zwyczaj sztywnego przeginania się w pasie przy ukłonie, ostry sposób zabierania się do kobiet, początkowo drażniły Anglików. Ale po wypadku na lotnisku, kiedy jeden z Polaków uratował życie kapralowi brytyjskiemu, sytuacja się wyjaśniła. Polacy przedzierzgnęli się w "Stanlich", "Nicków" i "Henrich". W czasie lotów bombowych pracowali jak kulisi, po powrocie — umieli się bawić: tańczyli do świtu, a śpiewy ich mogłyby zbudzić umarłych. Poza tęsknotą do najbliższych — dokucał biedakom brak dwóch rzeczy: wódki i polskich potraw; "... o piwie nie mają dobrego pojęcia".

Pewnego dnia jeden z kaprali przyprowadził na sznurku psa — przybłądę, kundla czy też mieszanka. Napojono go i nakarmiono, lecz na drugi dzień pies znikł. Odnalazł się w kilka tygodni potem u boku polskich mechaników w hangarze. Szczekał, jakby wzywając Polaków do przerwania roboty i do rozpoczęcia zabawy. "Więc Polak wydał rozkaz — po polsku! A pies przysiadł i zaczął służyć. Wtedy mechanik powiedział coś innego, pies podniósł się i — zaczął z wolna iść w tył! Znowu zamamrotano, pies położył

się i zaczął turlać się jak beczka. Na Boga żywego, było w tym coś niesamowitego. Przysięgam, że pies nie mówił po polsku, kiedy go ostatni raz widziałem!". Sierżant próbował odezwać się do Miszki po angielsku — ale pies nie reagował. Najprzedziwniejsze sztuczki — "stawał niemal na głowie" — robił tylko na polską komendę.

Towarzyszył dywizjonowi na rannych zbiórkach, asystował przy wyplataniu gazy, podczas nabożeństw niedzielnych wystawał w wejścia do kościoła, niekiedy brał udział w lotach, przy czym imię jego najstarszemu wpisywano do odpowiedniej rubryki "log'u". Kiedyś nawet zauważono go na polskim koncercie. Mieszkał we własnym domku zrobionym ze starych skrzyń — "replika polskiego dworu".

Obrozę Miszki zdobyli drewniane miniaturowe modele bomb. "To fakt! Rozmawiałem o tym z jednym z "Polskich" i dowiedziałem się, że Miszka dostawał nową bombę za każdym razem, kiedy udawał się na wyprawę. Co za naród!" — zaznacza sierżant.

Pewnej nocy załoga, z którą Miszka poleciał, nie wróciła. Dywizjon polski przeniesiono gdzie indziej: "... załadowaliśmy, że odchodzimy, a pomiędzy Waafkami było trochę płaczu — jedna lub dwie wyszły za mąż za Polaków".

Mniej więcej w dwa miesiące potem policja jednego z miast w północno-wschodniej Anglii doniosła, że przybłąkał się pies, na którego obrozę znajdowała się blaszka z nazwą lotnika w Uxbridge. Nie było wątpliwości, że chodzi o Miszkę, i wkrótce pies znalazł się z powrotem na lotnisku. Był bardzo zbiedzony, kości przeżewiał mu przez skórę, nie mógł nic przelknąć. Ocalenie zawdzięczał zapewne zdolnościom pływackim rasy /Schipperke/, której krew płynęła w jego żyłach. Zawiadomiono polski dywizjon, i dwóch lotników wraz z kpt. Radnowskim zjawili się po psa. Po raz pierwszy Miszka zareagował na ludzi słabym machnięciem ogona.

Sierżant nie chciał wierzyć własnym oczom, gdyż przede wszystkim dokonano ceremonii przypięcia na obrozę dziewiętej bomby, po czym psa zabrano — na rękę, nie był bowiem w stanie utrzymać się na nogach.

Sierżant otrzymał na pamiątkę srebrną odznakę: sokoła w locie, z laurowym wiankiem w dziobie.

## OD GDYNI DO REGGIO

Ukazała się książka A. D. Divine'a, znanego reportera morskigo, współpracownika prasy lorda Kemsleya /Daily Sketch, Sunday Graphic i Sunday Times/, p.t. *Navies in Exile*\*. Otwiera ją rozdział o marynarce polskiej /45 stron/. Marynarce holenderskiej poświęca autor 42 strony, norweskiej — 40, francuskiej — 29, greckiej — 27, jugosłowiańskiej — 17, belgijskiej i duńskiej — po 2.

Dramatyczna opowieść o roli floty polskiej w czasie wojny obecnej rozpoczyna się od opisu zatonięcia torpedowca "Mazur". Załoga "Mazura" walczyła do ostatniej chwili: "W ciągu godziny pierwszego dnia tej największej z wojen, mała flota polska, nowa, niedoświadczona, stworzyła sobie imię. W latach następnych na imię to nie padł żaden cień, nie nie splamiło szandaru, który powieiał nad "Mazurem".

Autor daje krótki zarys rozwoju marynarki polskiej, zestawia jej stan liczebny w chwili wybuchu wojny, ukazuje beznadziejność położenia wobec druzgocącej przewagi marynarki niemieckiej, przypomina męską decyzję przerwania polskich kontrtorpedowców w przeddzień wybuchu wojny z Bałtyku do Anglii, kreśli dzieje eskapady "Wilka" i "Orla" pod nosem całej floty niemieckiej do brytyjskich portów atlantyckich — wszystko to na tle walk pomiędzy "młotem niemieckich dywizyj pancernych a kowadłem rosyjskim"; miążdzącej przewagi Niemiec i uderzenia Rosji od tyłu.

Odąd rozpoczyna się służba polskich okrętów wojennych w ramach brytyjskiej marynarki wojennej. U wybrzeży Holandii "Grom" i "Błyskawica" — pierwsze w obecnej wojnie zostały zaatakowane torpedami powietrznymi. Przez osiem miesięcy pięć polskich jednostek walczyło razem. Od czasu kampanii norweskiej rozłączyła je decyzja admiralicji brytyjskiej.

"Błyskawica" i "Grom" wzięły

\* *"Navies in Exile". A. D. Divine, D.S.M., Londyn, John Murray, 1944; str. 4nl i 194 i tabl. 7.*

uczal w wyprawie na Narvik. W fiordzie narwickim zatonął "Grom": "Polska marynarka przeżyła pierwszą wielką tragedię". "Burza" otrzymała rozkaz zabrania rozbitków z "Gromu", wyłowionych przez okręty angielskie. Gdy zbliżyła się do pancernika "Resolution", orkiestra brytyjska zagrała "Jeszcze Polska": "Nikt z załogi "Burzy" nie zapomni tej chwili". Odchodzący okręt polski żegnał marynarce brytyjscy chóralnym śpiewem, pieśnią banalną, ale bardziej, niż wszystkie rozkazy dzienne wyrażając uczucia braterstwa broni z załogą dwóch małych okrętów polskich w walce o wspólną sprawę.

Po "Gromie" przysłała kolej na "Burzę". Trafiona dwiema bombami w czasie operacji ewakuacyjnych z Calais w maju 1940 r., dołkła się do Dovru, by stamtąd udać się do doków reperacyjnych w Portsmouth.

"Błyskawica" brała udział w ewakuacji Dunkierki; rejestr jej dokonał w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy wojny wyglądał jak następuje: 27 operacji zaczepnych, 1 bitwa morską, 23 konwoje, 3 bitwy z nieprzyjacielskimi bateriami nadbrzeżnymi, 56 patroli, 17 potyczek z nieprzyjacielskimi siłami nawodnymi, 13 potyczek z nieprzyjacielskimi okrętami podwodnymi, 56 ataków samolotów nieprzyjacielskich.

Zatopienie 10.000-tonowego transportowca "Rio de Janeiro" było najwybitniejszym czynem "Orla". Dn. 23 maja "Orzeł" wyruszył na patrol w wodach Skagerraku. Z patrolu tego nie wrócił. "Wilki" przeżył fantastyczne zdarzenie z niemieckim okrętem podwodnym; wyszedł z niego cało, przypuszczalnie pozostawiając nieprzyjaciela na dnie morza.

Mimo strat, marynarka polska na obczyźnie rozwija się w dalszym ciągu. Skład osobowy powiększyły załogi okrętów szkolnych "Iskra" i "Wilja", które wojna zastała na Morzu Śródziemnym, zewsząd napływają ochotnicy: 300 z armii polskiej we Francji, 200 z armii polskiej w Anglii, 100 z Ameryki Północnej, 100 z Ameryki Południowej, później około 1000 z Rosji. Jeszcze przed zatonięciem "Gromu" marynarka polska powiększyła się o "Garlanda"; "Grom" zastąpiła

## Skrzynka pocztowa

### W SPRAWIE ARTYKUŁU

#### "DWIE EMIGRACJE"

Szanowny Panie Redaktorze, "Polska Walcząca" stała, poczynając od przelotu roku 1939-40, słuszenie podkreślała wielkość porwy patriotycznego polskiej emigracji zarobkowej we Francji. Fakt to bezsporny, że ta chłopsko — robotnicza emigracja, niepomna swych krzywd i urazów, wraz z młodzieżą inteligencką z kraju, stanowiła podstawę odradzającej się armii polskiej we Francji po klęsce wrześniowej. Pamiętam, jak ze wzruszeniem opowiadałem mi, Redaktorze, że najpilniejszymi czytelnikami pisma żołnierskiego, najbardziej słowa polskiego złakniętymi, byli polscy górnicy. Harcerze polscy rozwozili "Polskę Walcząca" po najdalszych zakątkach północnych departamentów Francji, liczba nakładu pisma urosła szybko do 17 tysięcy egzemplarzy.

Tej linii — podkreślenia roli wysiłku emigracji polskiej we Francji — "Polska Walcząca" pozostała wierna przez cały czas swej egzystencji w okresie londyńskim. Nawet więcej, rozszerzyła swe zainteresowania na inne tereny emigracji polskiej: Stany Zjednoczone, Kanada, Brazylię, Argentynę. Było to do wodom rozumem i instynktu, że gdy pewne pismo w Londynie w r. 1940 za najważniejsze swe zadanie uważało opłatanie polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych, "Polska Walcząca" stała podkreślała ważność polskiego wychodźstwa pod względem politycznym, wojskowym i gospodarczym dla walczącego kraju. Numer amerykański "Polski Walcząca" z r. 1941, wydany w czasie podróży Wł. Sikorskiego i St. Mikołajczyka w Stanach, był jednym z wyraźniejszych przejawów tej li-

ni, jaką stała wobec wychodźstwa zajmowała "Polska Walcząca".

Jestem skłonny uważać, że pewne ustępy, drukowane w numerze 39 z 30 września artykułu p. Zygmunta Nagórskiego, jr. p.t. "Dwie emigracje" mogą się wydać naruszeniem tej słusznej i chlubnej linii pisma. Artykuł ten, w niektórych swych partiach, jeszcze więcej w swych napomknięciach i niedopowiedzeniach, zdaje się zawierać tezy, na które nie można się zgodzić.

Autor artykułu — nie wiadomo na jakich przesłankach — wypowiada dość arbitralne twierdzenie, że po klęsce francuskiej r. 1940, gdy "dwie ojczyzny na przestrzeni osmiu miesięcy przestały istnieć — to było zbyt dużo nawet dla twardego górnika, nawet dla pracowanego na roli francuskiej robotnika. Zgubił się, załamał, poczuł pustkę straszliwą, brak wewnętrznego oparcia". To oparcie miał znaleźć w walce kraju i w pomocy emigrantów politycznych, którzy pozostali we Francji po klęsce r. 1940. I teraz autor artykułu usiłuje udowodnić, że choć "emigranci polityczni nie przekraczali liczby stu osób" — to jednak stworzenie organizacji oporu było niemal ich wyłączną zasługą, choć stosunkowa liczebność między nimi, a emigracją zarobkową biorącą udział w akcji politycznej była taka, jak dziewięć tysięcy do stu.

Wyglaszanie takich uogólnień o zatamaniu się duchowym emigracji chłopskiej i robotniczej jest co najmniej przedczesne w chwili, kiedy łączność między Londynem a Francją nie została w pełni odbudowana, kiedy nie rozporządzamy jeszcze całkowicie udukiemotowanym i wszechstronnym obrazem nastrojów tej emigracji w latach 1940-1944. A czy

jest rzeczą taktyczną pisanie takiego rodzaju nieuzasadnionych rzeczy w chwili, gdy przystępujemy do odbudowy armii polskiej we Francji, gdy znowu apelujemy do tego wychodźstwa?

Nie ma także potrzeby tworzenia nowych legend. Do nich zaliczyć wypadnie twierdzenie, jakoby ta rzekomo zagubiona i załamana polska emigracja chłopsko-robotnicza we Francji bez pomocy emigrantów politycznych, którzy pozostali tam po klęsce, nie była zdolna do żadnej samodzielnej akcji. Kto tak twierdzi, ten zapomina, że polska emigracja zarobkowa we Francji wytworzyła już z końcem XIX-go wieku swe bogate zróżniczkowane formy życia organizacyjnego, że znalazła ona w kościele, szkole, prasie, stowarzyszeniach oświatowych, organizacjach młodzieży swe bujne uzewnętrznienie. Bez tej masy, bez pracy tych organizacji nie było by ani armii polskiej po klęsce wrześniowej, ani organizacji oporu w czasie okupacji.

Czas skończyć z patronackim, protekcyjnym — poklepującym stosunkiem wobec tej masy. Kto przybiera te postawy może spotkać się łąco z tym odruchem, jaki niedawno, słuszenie przypomniał stary działacz emigracyjny z Francji p. M. Kwiatkowski. Oto, gdy na jednym z zebrań górników polskich w północnej Francji często zmieniający się urzędnicy konsularni dawali wciąż sprzeczną poradczenia masie górników, jeden ze starych górników zwracając uwagę na niestosowność i niewspółmierność tego rodzaju uwag — ujął to w taką prostą, lecz jakże trafną formułę: — "Panowie, dajcie pokój pouczeniu, przecież wy tu ptoki, a my krzoki".

EDWARD ŻYWON

**Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie**

**Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4477 książek**

\* *"The Incredible City". By Robert Henrey, Londyn, J. Dent, 1944; str. 6nl i 195 i 3nl i tabl. 8.*

\*\* *No Bombs At All. Some Short Stories of the Royal Air Force.* by C. H. Ward-Jackson. With Wood Engravings by Biro, Londyn, Sylvan Press, 1944; str. 123 i 5nl.



**NA PACZKI OD SERCA**

W załączeniu przesyłam Postal Order na £2.11.0 /dwa funty, jedenaście szyl./ na papierosy dla jeńców. Pieniądze te pochodzą ze zbiorów, którą swego czasu urządził mój poprzednik w szpitalu.

K. Sl. por.

Przesyłam "beziemiennie" £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

**POLISH CHILDREN RESCUE FUND**

Dear Sirs,

Please will you accept the enclosed small gift of 25/- which the children /small/ of this school would like to give to Polish children.

The school is trying to link up with children in other European countries, and would like to know of any practical way in which this is at present possible, other than giving money. They have asked if it is possible to write letters to Polish children in Britain, and if gifts of books or toys for small children would be any use? The children here are nearly all under 10 years old. Have you many in need of about the same age?

Yours sincerely,  
V. S. Croucher /Miss/

**SZPITAL DLA DZIECI W POLSCE**

Dear Mrs. Herbick,

I have pleasure in sending £1 my donation for the Children's Hospital in Poland.

I wish every success to the Sale of Work.

I am,

Yours sincerely,  
Ann. E. Cormack

**UPROSZCZONY PODRĘCZNIK JĘZYKA POLSKIEGO DLA SAMOUKÓW**

V. SWICZ "FIRST STEPS IN POLISH" ukazał się w druku.

Do nabycia w księgarniach polskich cena sh. 4/6.

Głos krytyka angielskiego: "This is not only a grammar, but an entirely new presentation of a language".

**POSZUKIWANIA**

Poszukiwani: TADEUSZ i BOLESŁAW OGRODNIK ze Lwowa synowie Zygmunta i Józefa.

TADEUSZ RYBICKI z Krzemienia, syn Marii i Kazimierza. STANISŁAW GĘBAROWICZ z 40 pp. ze Lwowa.

Wiadomości należy kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

**KOMUNIKAT**

Polacy z Prus Wschodnich, Pogranicza, Śląska Opolskiego, Westfalii i innych części Niemiec proszeni są o zgłaszanie swych nazwisk i adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

**S.P.**

STANISŁAW BOBER kapral

prawy żołnierz, dobry kolega, uczestnik walk w Norwegii, zginął śmiercią żołnierza

dnia 12 sierpnia 1944 r. przeżywszy lat 23, o czym zawiadamia

Przyjaciel  
K. KRAW

**Nowość!**

III Wydanie

STANISŁAW KASZNICA **ROZWAŻANIA**

Cena 6/6

NAKLADEN KOMITETU NACZELNEGO Związku Harcerstwa Polskiego 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

**SPIS RZECZY:**

Andrzej Pomian: Tradycja wielkości. — /rysunek Jerzego Facyńskiego/. — Rozkaz Prezydenta R.P. do Sił Zbrojnych. — Rozkaz Ministra Obrony Narodowej. — Triarius: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Józef Winiewicz: Obłężenie Warszawy w 1939 r. — Tomasz Appel: Barykada. — Z frontu zachodniego: Marian Walentynowicz: Wyprawa do wyrzutni "bomb latających" /rysunek autora/. — Konrad Syrop: Morskie boje pancerniaków. — Stefan Łaskiewicz: Przewz ciał skrwawionej Normandii. — Marek Szwarc: Jeden z wielu. — Eugeniusz Romiszewski: Polscy spadochroniarze w walce: I. Przed ostatnim startem. — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Skrzynka pocztowa. — Na pomoc Warszawie. — Dla rannych żołnierzy. — Na "paczki od serca". — Na Polish Children Rescue Fund. — Na szpital dla dzieci. — Fotografie.

**Na pomoc Warszawie: £462**

W załączeniu przesyłam 3 Postal Order na łączną sumę £2 sh.9 /dwa funty, dziewięć szylingów/ na fundusz pomocy ludności Warszawy.

Suma ta została zebrana ze składek żołnierzy plutonu radiotelegrafistów... Szwadronu Łączności Dyw. Gren. Panc.

Dowódca Łączności  
ppłk. G.

W załączeniu przesyłam na "Fundusz Pomocy Warszawie" czek na £1.10.0 jako nieprzyjęte honorarium za artykuł do Biuletynu "Światopól" oraz M.O. na £2 zamiast kwiatów na grób ś.p. Ks. K. Poglódka.

Henryk Majchrzak

Zamiast wieńca na trumnę ś.p. ks. kapelana P. Samulskiego przesyłam na pomoc ludności Warszawy sumę £2 sh.10.

Alumni Seminarium Duchownego w Bearsden

Szanowny Panie Redaktorze, Załączam czek na sumę £10 /dziesięć funtów/ z prośbą o przekazanie na fundusz pomocy dla cierpiących w Warszawie.

Z poważaniem

J.A.N.

Do Redakcji "Polski Walczącej", W załączeniu przesyłam money order na sumę £4 z prośbą o przekazanie na fundusz "Pomocy Warszawie".

Z poważaniem

Janina Andrzejewska

Redakcja "Polski Walczącej", W załączeniu przesyłam "Money Order" na sumę £7.4.0 /siedem funtów, cztery szylingi/ złożone przez personel Biura Rozrachunkowego M.O.N. na pomoc dla Warszawy zamiast wieńca na trumnę ś.p. ks. kapelana Samulskiego.

Szef Biura Rozrachunkowego M.O.N.

Kolumna Samochodów Sanitarnych na koncercie poezjalnym zebrała £27 sh.12 d.6 /słownie: dwadzieścia siedem £, dwanaście sh., sześć d./, którą to kwotę przekazuje na "Pomoc dla Warszawy".

D-ca... Kolum. Sam. Sanit. E. H. kpt.

Redakcja "Polski Walczącej", Pani Gladys Bain, 63, Southwold Mansions, Widley Rd., wręczyła mi £1 z przeznaczeniem na pomoc Warszawie, który w załączeniu przesyłam.

Z poważaniem

Stefan K. por.

Sluchacze V kursu W.S. Lotn. wpłacili na pomoc jeńcom oficerom Armii Lądowej z kampanii wrześniowej 1939 r. od VI — X.44 r. kwotę £85.12.9.

Oficerowie W.S. Lotn. wpłacili na pomoc Walczącej Warszawie £28.0.0.

Z poważaniem

W.J.P. mjr. pil. Starszy Kursu

W Szkole Służby Zdrowia którego wieczora rozpoczęła się cicha i poważna dyskusja na temat czynienia starań o niesienie moralnej i materialnej pomocy Rodakom walczącym w Warszawie i Pruszkowie k/Warszawy i w wyniku tej dyskusji zapadła uchwała o konieczności dopomożenia i ulżenia cierpiącym. — Następnego dnia posypały się hojne datki na ten cel.

Ogólnie zebrana dotychczas kwotę £37 sh.1 /trzydzieści siedem funtów i jeden szyling/ przekazuje przy niniejszym do Redakcji "Polski Walczącej".

Niech Najwyższy Stwórca tego świata stokrotnie wynagrodzi szlachetnych ofiarodawców i gorąco prosimy Pana Boga, by pokierował łaskawie tak, by płynąca ze wszystkich stron pomoc materialna — dotarła jak najszybciej do Rodaków w Warszawie i Pruszkowie.

Florian Stawiński

£1 /jeden funt/ na pomoc Warszawie.

Absolwentka gimn. Królowej Jadwigi w Warszawie

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £96.6.6 /słownie: dziewięćdziesiąt sześć funtów, sześć szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £462.3.2 /słownie: czterysta sześćdziesiąt dwa funty, trzy szylingi, dwa i pół pensów/.

**DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY**

Do Redakcji "Polski Walczącej", Dla uczczenia pamięci kpr. Michała Goldina z 1 Dywizji Pancerniej, poległego w Normandii, sumę sh.10 na fundusz opieki nad rannymi żołnierzami przesyłają świetliczarki

Janina Brzozowska i Renata Działotowa

Celem uczczenia ś.p. majora Jana Maciejewskiego oraz Żołnierzy wszystkich stopni Pułku Strzelców Konnych poległych na polach bitew we Francji, Belgii i Holandii — składam £1 /jeden/ na paczki dla rannych żołnierzy z 1. Dywizji Pancerniej.

Janina Brzozowska świetliczarka

Do Redakcji "Polski Walczącej", Dla uczczenia pamięci ppor. Janusza Tarnowskiego i pchor. Janusza Jodko-Narkiewicza z 1 Dywizji Pancerniej, poległych w Normandii, sumę £1 na fundusz opieki nad rannymi żołnierzami przesyła

świetliczarka Renata Działotowa

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę sh. 7/6 /słownie: siedem szylingów, 6d./, ofiarowanych przez st. strz. No. Władysława dla rannych żołnierzy. W.P.

Kierownik Kpt. Ma. Mo.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £2.17.6 /słownie: dwa funty, siedemnaście szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi — z przeznaczeniem na paczki dla rannych żołnierzy.

**RANNI ŻOŁNIERZE**

pochodzący z terenów Polonii Zagranicznej proszeni są o podawanie swoich adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

**KOMUNIKAT**

W ostatnich dniach wyszedł z druku Nr. 47 "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich", wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii, pod ogólnym tytułem "Polska walczy".

Numer zawiera przedruki z polskiej prasy podziemnej: opowiadania, artykuły, wiersze, anegdoty, pieśni i piosenki /z nutami/, które mówią o wysiłkach, cierpieniach i wlotach myśli tworzącej w obecnym życiu Polski pod ziemią.

Całość ilustrują liczne fotografie nadesłane z kraju.



**S.P.**  
**JAN MACIEJOWSKI**  
major W.P.  
Dowódca... Pułku Strzelców Konnych  
poległ na Polu Chwały pod Chambois dnia 20.VIII.1944 r.  
o czym zawiadamia  
... Pułk Strzelców Konnych

**S.P.**  
**BOLESŁAW ROUPPERT**  
ppor. W.P.  
poległ na Polu Chwały pod les Moutiers en Auge w dniu 17.VIII.1944 r.  
o czym zawiadamia  
... Pułk Strzelców Konnych

**S.P.**  
**JÓZEF LEONARD WASOWSKI**  
por. rez. W.P.  
poległ na Polu Chwały pod Jort w dniu 15.VIII.1944 r.  
o czym zawiadamia  
... Pułk Strzelców Konnych

**S.P.**  
**WŁADYSŁAW NOWAK**  
por. rez. W.P.  
poległ na Polu Chwały pod Louvieres en Auge w dniu 17.VIII.1944 r.  
o czym zawiadamia  
... Pułk Strzelców Konnych

**S.P.**  
**ZBIGNIEW MAKSYMOWICZ**  
ppor. rez. W.P.  
poległ na Polu Chwały pod Louvieres en Auge w dniu 17.VIII.1944 r.  
o czym zawiadamia  
... Pułk Strzelców Konnych

**KOMUNIKAT O KURSIE OPIEKI SPOŁECZNEJ**

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej podaje do wiadomości, że staraniem British Council zostanie w dniu 30 października uruchomiony cztero-miesięczny Kurs Pracy Społecznej Kobiet. Kurs ma na celu przygotowanie słuchaczek do pracy zwłaszcza na takich placówkach opieki społecznej, jak stacje repatriacyjne, punkty dożywiania, pogotowia opiekuńcze dzieci, biura informacyjne dla ludności i t.p.

Program kursu przewiduje wykłady /w języku angielskim/ prowadzone przez wybitnych znawców zagadnień społecznych, oraz zajęcia praktyczne, a więc zwiedzanie brytyjskich placówek opieki społecznej i praktykę w zakładach brytyjskich.

Zgłoszenia na kurs przyjmuje do dnia 20 października Dział Rekonstrukcji Socjalnej Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej /1, Sloane Gardens, S.W.1, Flat 4/. Do zgłoszenia należy dołączyć własnoręcznie napisany życiorys z podaniem wieku, wykształcenia ogólnego i zawodowego, oraz przebiegu dotychczasowej pracy zawodowej i społecznej.

Pewnej liczbie kandydatek Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej udzieli stypendiów na pokrycie kosztów utrzymania oraz opłat za kurs. Kandydatki ubiegające się o stypendium, winny do zgłoszenia na kurs dołączyć podanie o przyznanie stypendium.

**Doskonały prezent dla Brytyjczyków!**

Ukazało się tłumaczenie książki

"Źródło Genowefy"

POR. HERBERTA

p. t.

**"G — FOR GENEVIEVE"**  
z ilustracjami. Cena 11/6

**SKŁADNICA KSIĘGARSKA**

8, HOPE STREET, EDINBURGH

**WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.**  
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.  
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.  
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

**MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO**  
zawiadamia o wydaniu książki:  
**"RADIOTECHNIKA"**  
(Tom I)  
**MAGNETYZM I ELEKTRYCZNOŚĆ**  
Tłumaczenie z angielskiej książki  
"Admiralty Handbook of Wireless Telegraphy"  
z 219 rysunkami  
Str. 332. Cena 15/6.  
Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach

**UNIVERSITY OF EDINBURGH**  
**DIPLOMA IN ADMINISTRATIVE LAW AND PRACTICE**  
The course commences in October. Candidates should apply to the Dean of the Faculty of Law, The University, Edinburgh.  
**REGULATIONS FOR THE DIPLOMA.**  
I. Candidates for the Diploma must be:—  
a/ Graduates of a British University or  
b/ Other persons who can satisfy the Senatus that they have reached a standard of education equivalent to an ordinary degree of a British University.  
II. The subjects of Instruction and Examination are:—  
1/ Administrative Law: Central and Local.  
2/ Political Economy.  
3/ Constitutional Law.  
4/ Organisation of Industry and Commerce.  
5/ Accounting.  
6/ Banking.  
III. The British Council may be willing to contribute to the fees of approved students. Permission to attend must be obtained from the Military Authorities.

**BE TALLER!**  
**INCHES PUT YOU MILES AHEAD!**  
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.  
No Appliances—No Tablets—No Dieting  
Ross System Never Fails  
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp  
**MALCOLM R. ROSS**  
Height Specialist  
BM/Hyde, London, W.C.1